

*Ewa wzywa 07...*



Ryszard Szczerba

ALIBI



ISKRY

*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

---

Ryszard Szčerba

**A L I B I**

---



ISKRY · WARSZAWA · 1973

---

*Wszelkie podobieństwo osób, nazwisk i zdarzeń — jest przypadkowe. Zdarzyło się to w 1972 roku...*

## I

Mężczyzna drgnął. Ból, pulsujący gdzieś pod pokrywą czaszki, przywracał mu powoli świadomość. Zamknięte powieki izolowały od otoczenia, lecz nie potrafiły zahamować narastającego lęku. Gdy palcami dotknął twarzy — wyczuł lepką maź.

Powoli sięgnął do klamki drzwiczek. Otworzył się nadszpiewanie łatwo. Spróbował poruszyć nogami. Choć wydały się jakieś obce — wyczuł, że może nimi władać bez specjalnego bólu.

Całym ciałem zwałił się w prawo, w bok. Dłońmi dotknął wilgotnej trawy. Zanurzył w niej twarz i to przyniosło mu ulgę. Później powoli podniósł się i niepewnie stanął na nogach. Lecz znów musiał pochylić się ku ziemi. Ogarnęły go mdłości.

Po kilku minutach wyprostował się po raz wtóry. Raz jeszcze przesunął dłonią po twarzy, rozmazując krzepnącą krew. Chciał krzyknąć lub może tylko coś powiedzieć, lecz z krtani wydobył się nieartykułowany bełkot.

Przez chwilę wpatrywał się w rosnące opodal drzewo. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Niczego nie pamiętał. I może właśnie dlatego zaczął narastać w nim podświadomy lęk, przechodzący coraz bardziej w intensywne uczucie strachu. Ogarnęła go jedna myśl: uciekać!

Rozejrzał się wkoło. W dali dostrzegł światła ulicznych latarni. Zataczając się ruszył w tym kierunku.

Szedł wolno, potykając się raz po raz o jakieś nierówności terenu. Gdy wreszcie dobrnął do szerokiej wielkemiejskiej ar-

terii ocienionej drzewami, nie rozpoznał okolicy, w której się znalazł.

Zatrzymał się tuż przy krawędzi chodnika, próbując uporządkować myśli. Lecz pomimo wysiłku, niczego nie mógł sobie przypomnieć.

I wówczas dostrzegł narastające światła jadącego ze znaczną szybkością pojazdu...

Dwie godziny później w Wydziale Kontroli Ruchu Drogowego Stołecznej Milicji Obywatelskiej, zwanym powszechnie w skrócie WKRD, zmęczony całonocnym dyżurem oficer dochodzeniowy w stopniu kapitana kończył przesłuchiwanie młodego mężczyzny.

— Zachował się jak wariat! — raz po raz powtarzał w najwyższym zdenerwowaniu przesłuchiwany. — Nie mogłem przewidzieć, że wyskoczy wprost pod samochód. Próbowałem hamować. Zarzuciło mnie. Rozumie pan, mgła zaczęła osiadać na asfalcie. Dlatego uderzyłem go bokiem. Nie widziałem go, zanim nie wtargnął na jezdnię. Widocznie stał w miejscu ocienionym drzewami. Nie mogę przecież odpowiadać za czyny wariata?

— Proszę pana — przerwał mu prowadzący przesłuchanie — nawet jaskrawe naruszenie porządku drogowego przez innego użytkownika drogi nie zwalnia kierowcy od obowiązku zachowania najdalej idącej ostrożności. Orzecznictwo Sądu Najwyższego jest w tej sprawie jednoznaczne. A ten, którego pan uderzył, na pewno nie jest wariatem. Jechał pan z

nadmierną szybkością, a widoczność nie była najlepsza.

— Ale to było o drugiej w nocy. Dokładnie o drugiej! Drogę miałem zupełnie pustą. Nie mogłem przewidzieć, że nagle ktoś wyskoczy na jezdnię i rzuci się pod samochód. Dosłownie jak samobójca. Jeśli on jest normalny, to pewnie był pijany. Przecież musiał mnie widzieć! Jechałem mając włączone światła drogowe.

— Nie warto krzyczeć — powiedział zmęczonym głosem prowadzący przesłuchanie. — Ja też jestem kierowcą i dlatego nie mam ochoty znęcać się nad panem. Ale nie jeżdżę Wybrzeżem Gdyńskim, nawet nocą, z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Ograniczenia szybkości istnieją po to, by ich przestrzegać. Warunki drogowe nakazywały przecież większą ostrożność. Była mgła i ślisko. Dlatego ja panu rozgrzeszenia nie dam. Stu siedemdziesięciu zabitych i prawie dwa tysiące rannych w samej Warszawie w okresie roku to chyba zbyt dużo? Pana samochód zostanie zatrzymany do czasu zbadania go przez biegłych. I pan także będzie zmuszony pozostać chwilowo u nas. To nieuniknione. W poniedziałek przedłożę sprawę prokuratorowi, który zadecyduje, co dalej.

Przesłuchiwany opuścił z rezygnacją głowę.

— Czy on żyje? — zapytał po chwili milczenia.

— Nie wiem. Przewieziono go do Szpitala Praskiego. Pół godziny temu żył jeszcze. No cóż! Na tym zakończymy wstępne przesłuchanie. Proszę protokół przeczytać i podpisać, o ile zgadza się pan z jego treścią. A później proszę spokojnie czekać w korytarzu. I raczej nie robić głupstw.

Gdy podejrzany wyszedł, kapitan Jan Smolak raz jeszcze przejrzał spisany przez siebie protokół. Pracował już szósty rok w Wydziale Kontroli Ruchu Drogowego i tego rodzaju sprawy przechodziły dziesiątkami przez jego ręce. Spokojny i flegmatyczny, niezwykle skrupulatny, o charakterystycznej, nieco przedwcześnie pokrytej zmarszczkami twarzy i lekko już siwiejących włosach, w stosunku do po-

dejrzanych zachowywał się niemal kurtuazyjnie, wielu wyraźnie współczując, co nie oznaczało, by był dochodzeniowym typu „łagodny”.

Pracując w milicji uzyskał wyższe wykształcenie prawnicze. Proponowano mu wielokrotnie powrót do Wydziału Kryminalnego, w którym działał ponad dziesięć lat, lecz on z uporem odmawiał. Interesowały go wypadki drogowe. W problematyce tej czuł się najswobodniej.

— Jeśli rzeczywiście tak było, jak on to przedstawia, prokurator chyba warunkowo umorzy dochodzenie — zamruczał Smolak do siebie. — Oczywiście o ile ten drugi nie umrze. Bo jeśli umrze, sprawa trafi do sądu. Świadców nie ma, ślady mogą wprawdzie wyjaśnić szybkość pojazdu w momencie rozpoczęcia hamowania oraz wskazać miejsce, w którym doszło do wypadku, ale czy uda się nam odtworzyć prawidłowo jego przyczyny? Dlaczego ten drugi tak nagle i bez zastanowienia wtargnął na jezdnię? Mgła nie była zbyt gęsta i powinien był dostrzec światła nadjeżdżającego pojazdu.

Po raz nie wiadomo już który zdał sobie sprawę, że w tego rodzaju przypadkach interesującą staje się nie tyle osobowość ofiary, ile osoba sprawcy wypadku. Choćby ten! Inżynier, człowiek z przyszłością. Wie, czym może grozić każde naruszenie przepisów drogowych, a mimo to ich nie przestrzega. Gdy wypadek spowoduje kierowca pijany lub prowadzący swój pojazd z brutalną bezwzględnością — problem odpowiedzialności staje się jednoznaczny. Gdy jednak wina kierowcy sprowadza się do wszechogarniającego stwierdzenia „nie zachował dostatecznej ostrożności”?

Sięgnął po pudełko z papierosami. Pozostały mu tylko dwa „giewonty”. Zaciągnął się dymem i znów powrócił myślą do zakońzonego niedawno przesłuchania.

Kierowca nie pozostawił rannego bez pomocy. Sam telefonicznie powiadomił pogotowie lekarskie i milicyjne. Niby spełnił tylko swój obowiązek, a przecież o czymś to świadczy. Ciekawe, czy jego samochód nadawał się po tej kraksie do dalszej jazdy? Trzeba to będzie zbadać.

Smolak poczuł, że ogarnia go senność. Ostatnie godziny dyżuru zawsze znosił najgorzej. Tak jak kierowca nad ranem, gdy już dojeżdża do celu. Spojrzał na zegarek. Była piąta dziesiąta. Do zakończenia dyżuru pozostały mu tylko dwie godziny.

Spiął protokół przesłuchania z notatką o zgłoszeniu wypadku i meldunkiem wozu patrolowego, nadanym drogą radiową. Dokumenty włożył do obwoluty akt dochodzeniowych. Oparł głowę o blat biurka, poprawił się raz i drugi na niezbyt wygodnym fotelu.

Dzwonek telefonu wyrwał go z drzemki. Niechętnie sięgnął po słuchawkę.

— Jest nowy meldunek z Wybrzeża Gdynińskiego! — usłyszał głos sierżanta Pawlaka. — W odległości może dwustu metrów, niedaleko brzegu Wisły, znaleziono drugi rozbity samochód. To jeszcze nie wszystko, kapitanie. Nasi meldują, że są tam także zwłoki...

— Przygotuj mi jakiś pojazd! — przerwał mu Smolak. — Albo nie, nie trzeba. Pojadę swoim. A tego czekającego w korytarzu zatrzymaj. Zdaje się, że mam niedzielę z głowy.

---

## II

---

Porucznik Władysław Janikowski, kierownik grupy techniczno-dochodzeniowej, która na miejsce wypadku przyjechała specjalnym ambulansom WKRD MO — spieszył się bardzo. Tej wrześniowej nocy ilość zgłoszonych wypadków drogowych była wyjątkowo duża. Jednocześnie, mimo nocnej mgły, zapowiadała się pogodna niedziela i lada moment mógł znów zacząć narastać weekendowy ruch na nadwiślańskiej trasie.

Zdarzenie, które badali, nie zapowiadało się interesująco. „Normalne” potrącenie pieszego, który wtargnął niespodziewanie

na jezdnię; wypadek, jakich notuje się kilka lub kilkanaście w ciągu doby w Warszawie.

Niewielki zespół Janikowskiego był sprawny, zgrany i doświadczony. Każdy wiedział sam, co ma robić.

Ślady hamowania i poślizgu, wyraźnie zarysowane na asfaltowej jezdni, obramowano miłą kredą; plamę krwi oraz miejsce, do którego zostało odrzucone uderzeniem pojazdu ciało — oznaczono dodatkowo specjalnymi numerkami. Później całość sfotografowano kamerą stereoskopową Wilda\*, oświetlając badany teren specjalnymi pochodniami. Ta współczesna i szybka technika pozwalała na utrwalenie wszystkiego, co dostrzegło niezawodne „oko” kamery fotograficznej, rejestrując jednocześnie odległości i wymiary badanych przedmiotów.

Volkswagena-1200, zwanego powszechnie „garbusem”, którym to kierowca spowodował wypadek z pieszym, a następnie sam wylądował na chodniku uderzając w latarnię uliczną — po sfotografowaniu umieszczono na wózku holowniczym, na sztywnym holu, niczego nie ruszając wewnątrz wozu. Miał być odtransportowany do WKRD. Tam zbadają go później biegli od spraw techniki samochodowej i ewentualnie technicy kryminalistyczni. Wszystko to przyspieszało badanie, a jednak zajmowało\*niemało czasu.

Janikowski ponaglał więc swoich współpracowników, bo głos dyspozytora przekazywał drogą radiową coraz to nowe informacje o kolejnych wypadkach drogowych.

— Słyszysz porucznik? — z warszawska zagadnął go kierowca ambulansu. — Ale noc! Na trasach wylotowych raz po raz

---

\* Stereofotogrametria — to fotogrametria przestrzenna, dwuobiektywowa. Polega ona na wykonaniu specjalną kamerą fotograficzną (m. in. kamerą Wilda) jednocześnie dwóch fotografii w analogicznych warunkach i z tej samej odległości, lecz pod różnymi kątami. Następnie negatywy tych fotografii obserwuje się za pomocą specjalnego urządzenia (stereoautografu), otrzymując złudzenie przestrzennego widzenia, i odtwarza się w dowolnej skali szczegółowy plan miejsca zdarzenia. Wystarczy więc kamerą taką wykonać odpowiednie fotografie, by następnie w laboratorium wykonać szczegółowy plan badanego miejsca wypadku drogowego.

nadmierną szybkością, a widoczność nie była najlepsza.

— Ale to było o drugiej w nocy. Dokładnie o drugiej! Drogę miałem zupełnie pustą. Nie mogłem przewidzieć, że nagle ktoś wyskoczy na jezdnię i rzuci się pod samochód. Dosłownie jak samobójca. Jeśli on jest normalny, to pewnie był pijany. Przecież musiał mnie widzieć! Jechałem mając włączone światła drogowe.

— Nie warto krzyczeć — powiedział zmęczonym głosem prowadzący przesłuchanie. — Ja też jestem kierowcą i dlatego nie mam ochoty znęcać się nad panem. Ale nie jeżdżę Wybrzeżem Gdyńskim, nawet nocą, z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Ograniczenia szybkości istnieją po to, by ich przestrzegać. Warunki drogowe nakazywały przecież większą ostrożność. Była mgła i ślisko. Dlatego ja panu rozgrzeszenia nie dam. Stu siedemdziesięciu zabitych i prawie dwa tysiące rannych w samej Warszawie w okresie roku to chyba zbyt dużo? Pana samochód zostanie zatrzymany do czasu zbadania go przez biegłych. I pan także będzie zmuszony pozostać chwilowo u nas. To nieuniknione. W poniedziałek przedłożę sprawę prokuratorowi, który zadecyduje, co dalej.

Przesłuchiwany opuścił z rezygnacją głowę.

— Czy on żyje? — zapytał po chwili milczenia.

— Nie wiem. Przewieziono go do Szpitala Praskiego. Pół godziny temu żył jeszcze. No cóż! Na tym zakończymy wstępne przesłuchanie. Proszę protokół przeczytać i podpisać, o ile zgadza się pan z jego treścią. A później proszę spokojnie zaczekać w korytarzu. I raczej nie robić głupstw.

Gdy podejrzany wyszedł, kapitan Jan Smolak raz jeszcze przejrzał spisany przez siebie protokół. Pracował już szósty rok w Wydziale Kontroli Ruchu Drogowego i tego rodzaju sprawy przechodziły dziesiątkami przez jego ręce. Spokojny i flegmatyczny, niezwykle skrupulatny, o charakterystycznej, nieco przedwcześnie pokrytej zmarszczkami twarzy i lekko już siwiejących włosach, w stosunku do po-

dejrzanych zachowywał się niemal kurtuazyjnie, wielu wyraźnie współczując, co nie oznaczało, by był dochodzeniowym typu „łagodny”.

Pracując w milicji uzyskał wyższe wykształcenie prawnicze. Proponowano mu wielokrotnie powrót do Wydziału Kryminalnego, w którym działał ponad dziesięć lat, lecz on z uporem odmawiał. Interesowały go wypadki drogowe. W problematyce tej czuł się najswobodniej.

— Jeśli rzeczywiście tak było, jak on to przedstawia, prokurator chyba warunkowo umorzy dochodzenie — zamruczał Smolak do siebie. — Oczywiście o ile ten drugi nie umrze. Bo jeśli umrze, sprawa trafi do sądu. Świadców nie ma, ślady mogą wprawdzie wyjaśnić szybkość pojazdu w momencie rozpoczęcia hamowania oraz wskazać miejsce, w którym doszło do wypadku, ale czy uda się nam odtworzyć prawidłowo jego przyczyny? Dlaczego ten drugi tak nagle i bez zastanowienia wtargnął na jezdnię? Mgła nie była zbyt gęsta i powinien był dostrzec światła nadjeżdżającego pojazdu.

Po raz nie wiadomo już który zdał sobie sprawę, że w tego rodzaju przypadkach interesującą staje się nie tyle osobowość ofiary, ile osoba sprawcy wypadku. Choćby ten! Inżynier, człowiek z przyszłością. Wie, czym może grozić każde naruszenie przepisów drogowych, a mimo to ich nie przestrzega. Gdy wypadek spowoduje kierowca pijany lub prowadzący swój pojazd z brutalną bezwzględnością — problem odpowiedzialności staje się jednoznaczny. Gdy jednak wina kierowcy sprowadza się do wszechogarniającego stwierdzenia „nie zachował dostatecznej ostrożności”?

Sięgnął po pudełko z papierosami. Pozostały mu tylko dwa „giewonty”. Zaciągnął się dymem i znów powrócił myślą do zakońzonego niedawno przesłuchania.

Kierowca nie pozostawił rannego bez pomocy. Sam telefonicznie powiadomił pogotowie lekarskie i milicyjne. Niby spełnił tylko swój obowiązek, a przecież o czymś to świadczy. Ciekawe, czy jego samochód nadawał się po tej kraksie do dalszej jazdy? Trzeba to będzie zbadać.

ktoś się tłucze. Ciekawe, co to będzie za dwa, trzy lata?

Janikowski wzruszył ramionami. Sam często zadawał sobie to pytanie.

— Będziemy mieli w Warszawie 127 pojazdów samochodowych na tysiąc mieszkańców, w tym 90 samochodów osobowych. Wiesz, co to oznacza? Dwunastu mieszkańców na jeden pojazd. Jak się towarzystwo nie nauczy jeździć, a piesi chodzić, to mogą sobie od razu kupić abonamenty do szpitali. Ale nie martw się. Samo życie ich tego nauczy. Na jak tam? — zwrócił się do swoich pomocników. — Gotowe wreszcie?

— Mniej więcej — zameldował sierżant Mrozek kończąc składanie wielkiej kamery fotograficznej i ładując ją do ambulansu.

Janikowski odczekał jeszcze chwilę, a następnie sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

— Baza! Tu ambulans! Słyszysz mnie? Na Wybrzeżu Gdyńskim skończyłem. Jąde na ulicę Mokotowską.

— Tu Baza! Słyszę cię — zaskrzeczało w odbiorniku. — Pospiesz się z tą Mokotowską. Są dalsze zgłoszenia o poważnych wypadkach.

— Niech wezmą na wstrzymanie — Janikowski ze złością odłożył słuchawkę radiotelefonu. — No co? Możemy jechać? — zwrócił się do kierowcy.

Ten bez słowa nacisnął rozrusznik i Nysa ruszyła z miejsca, lecz Janikowski nagłym ruchem ręki kazał wóz zatrzymać. Od strony Wisły biegł ku nim jakiś mężczyzna, wymachując złożoną wędką.

— A ten czego znowu od nas chce? — zdziwił się kierowca. Janikowski, równie zdziwiony, nie odpowiedział.

Już jednak po chwili szedł szybkim krokiem za prowadzącym go „rybakiem” w kierunku drzew rosnących około dwustu metrów od Wybrzeża Gdyńskiego. Jeden rzut oka pozwolił na zorientowanie się w sytuacji. Skinieniem ręki polecił idącemu za nim sierżantowi Mrozkowi, aby podprowadził w to miejsce ambulans wypadkowy.

— Kiedy pan natknął się na ten rozbity wóz? — zapytał „rybaka”.

— Niedawno, panie poruczniku. Może 5—10 minut temu. Skręciłem właśnie z Wybrzeża, by skrócić sobie drogę do tej kępy nad Wisłą, bo tam podobno ryby biorą. Zawsze w niedzielę chodzę na ryby. No więc gdy zobaczyłem rozbity samochód, zacząłem biec ku wam, byście nie odjeżdżali. Może to i nic nie jest, ale kto to wie?

— W porządku — skinął głową Janikowski. — Dziękujemy. Ruszał pan coś przy tym wozie?

— Ja? A po co? — zdziwił się „rybak”. — Nawet się nie zbliżałem. Nie mam ochoty włóczyć się później po sądach.

— W porządku — powtórzył Janikowski. — Proszę okazać dowód osobisty sierżantowi, który spisze pana personalia i może pan iść na ryby. A po sądach nie będziemy pana włóczyć. My już sami obejrzymy ten wypadek.

Patrząc uważnie pod nogi, by nie zdeptać jakiegoś śladu, Janikowski zaczął ostrożnie okrążyć rozbity samochód. Granatowe Volvo-124, starego typu, o zielonkawych szybach, stało z zapalonymi tylnymi światłami i lewym reflektorem, wbite przednią prawą stroną maski w drzewo. Prawy reflektor, strzaskany od uderzenia, przypominał oczodół ślepego. Z zawodową rutyną porucznik zaczął rejestrować coraz to nowe interesujące szczegóły: lewe przednie drzwi zamknięte, lewe tylne również zamknięte, prawe przednie otwarte na oścież, prawe tylne nie domknięte...

— Ciekawe — szepnął do siebie. — Zapalone światła wskazują, że rozbił się wieczorem lub w nocy. Po wypadku, spowodowanym przez inżyniera Werendę, radiowóz przyjechał o godzinie drugiej czterdzieści pięć. Nasi musieliby coś zauważyć, gdyby w pobliżu doszło do nowego wypadku. A więc musiało to zdarzyć się wcześniej. Ciekawe — powtórzył. — Prawe przednie drzwi otwarte. Ktoś wydostał się z wozu prawą stroną. Jeśli to był kierowca, dlaczego wychodził przez prawe drzwi? Przecież lewe nie były zablokowane? A więc prawą stroną wychodził pasażer? Jeśli było ich dwóch, dlaczego zostawili samochód bez opieki w takim

ustroniu? I do tego nie zamknięty? Z zapalonymi światłami?

Rozmyślając doszedł do zarośli, rosnących kilkanaście metrów od drzewa, w które tak niefortunnie uderzyło granatowe Volvo. I wówczas niespodziewanie dostrzegł między krzewami... ciało ludzkie.

Janikowski zatrzymał się odruchowo. Później, bardzo ostrożnie, rozgarnął gałęzie. Młoda kobieta, może raczej dziewczyna, leżała na wznak, z wyrzuconymi nad głowę rękami. Na nie osłoniętych częściach ciała nie dostrzegł żadnych obrażeń. Tylko głowa dziewczyny była jakoś nienaturalnie zgięta, a w kącikach ust widniały ślady zakrzepłej krwi.

Nie ulegało wątpliwości — dziewczyna nie żyła.

Janikowski schylił się. Uważnie zbadał podłoże. Na świeżej trawie nie odcisnęły się ślady, wskazujące na ewentualne ciągnięcie ciała. Palcami dotknął skóry dłoni. Wyczuł nienaturalne oziębienie. Dotknął z kolei zuchwy. Wyraźne stężenie pośmiertne wskazywało, że kobieta nie żyła co najmniej od kilku godzin.

Pomimo wystąpienia znamion śmierci postanowił niezwłocznie wezwać lekarza.

Ładna. Dobrze ubrana. Ale dlaczego nie ma torebki? — zarejestrował w pamięci dalsze spostrzeżenia. — Będą trudności w identyfikacji zwłok.

Warkot silnika milicyjnej Nysy zasygnalizował jej przyjazd.

— No co, poruczniku? — usłyszał głos sierżanta Mrozka. — Rozstawiamy sprzęt i robimy ten drugi wypadek czy jedziemy na Mokotowską?

— Poczekaj — zdecydował Janikowski. — Nie będziemy się spieszyć. To poważna sprawa. Połącz się natychmiast z bazą. Niech przysyłają karetkę pogotowia i obudzą naszego lekarza, a na Mokotowską poślą kogo innego. I niech powiadomią kapitana Smolaka. On przecież ma dzisiaj dyżur.

— Podaj im także numer rejestracyjny tego Volvo — krzyknął za oddalającym się Mrozkiem. — Trzeba szybko ustalić, do kogo należy.

---

### III

---

Porucznik Janikowski był, jak zawsze w poniedziałek rano, nie do uchwycenia i dopiero w południe udało się Smolakowi odnaleźć go w Wydziale Techniki Kryminalistycznej Stołecznej MO.

— Nie zdążę wcześniej z wykonaniem dokumentacji oględzin jak na godzinę czternastą — powiedział od razu, usłyszawszy w słuchawce głos Smolaka. — Każdy z was chce natychmiast...

— Zgoda — przeciął dyskusję Smolak. — Bądź o czternastej w prokuraturze. I postaraj się choć raz w życiu nie spóźnić.

Janikowski spóźnił się jednak o pół godziny. Gdy wreszcie się zjawił, usprawiedliwiając się już w drzwiach, zastał Smolaka swobodnie gawędzącego z prokuratorem. Ten ostatni spojrzał wymownie na zegarek, nabił tytoniem jedną z fajek, których rząd cały okazał prezentował się na biurku, wspartych na specjalnym stojaku.

— No to co, możemy zaczynać? — zwrócił się do Smolaka. — Od Adama i Ewy czy od razu wnioski końcowe? Akta i tak muszę przeczytać...

Smolak uśmiechnął się.

— W aktach prawie nic nie ma. Jeszcze nie ma.

— No to trudno. Dać wam kawy czy się obejdziecie?

— Raczej dać, o ile budżet prokuratora to wytrzyma. Sprawa jest kłopotliwa. Dwa kolejne wypadki drogowe powiązane ze sobą ofiarą wypadku. I dodatkowo zwłoki młodej dziewczyny. Oczywiście można to dochodzenie sprzedać kolegom ze służby kryminalnej. Myślę jednak, że jest to nasza sprawa.

— Łącznie ze znalezieniem zwłok tej dziewczyny?

— Tak by się wydawało. Zacznę od wy-



padku spowodowanego przez kierowcę Volkswagena. Nazywa się Jacek Werenda, ma lat 29, stanu wolnego, pracownik naukowy, magister inżynier. Mieszka, to jest ważne dla sprawy, na osiedlu „Torwar” przy zbiegu ulic Czerniakowskiej i Górnośląskiej. Spowodował wypadek drogowy, jego zdaniem zawiniony wyłącznie przez pieszego. Miało to miejsce o godzinie drugiej w nocy na Wybrzeżu Gdyńskim. Jezdnia wilgotna, lekka mgła, osiadająca na asfalcie.

— Warunki drogowe można więc określić jako trudne? — zapytał prokurator. — Zbadano to dokładnie?

— Ja badałem — wtrącił się Janikowski. — Trudne to zbyt mocne słowo. Raczej nazwałbym je: wymagające zwiększonej ostrożności.

— Inżynier Werenda jechał Wybrzeżem Gdyńskim w kierunku Żoliborza lub Marymontu, a więc w dół Wisły z szybkością około 80 kilometrów na godzinę. Nie jest to praktycznie szybkość znaczna, choć w mieście oczywiście niedozwolona, musi być jednak uznana za nadmierną, jeśli weźmie się pod uwagę warunki drogowe. Jednakże, trzeba to także podnieść, Wybrzeże Gdyńskie jest w tym czasie niemalże wyludnione, a jezdnia względnie szeroka. Ruch pieszych minimalny. Ilość wypadków drogowych między godziną 0.00 a 3.00 w nocy jest najmniejsza. Mógł więc rzeczywiście nie spodziewać się, że nagle na jezdnię wtargnie jakiś pijany.

— To nie tłumaczenie.

— Wiem o tym. Werenda twierdzi, że dostrzegł go w ostatniej chwili. Zaczął gwałtownie hamować, wpadł w poślizg, uderzył pieszego bokiem pojazdu, co potwierdzają zresztą głębokie wgniecenia w karoserii, a następnie sam wylądował na chodniku, zahaczając o latarnię. Pieszego, odrzuconego, upadł bez przytomności. Pojazd Werendy ma natomiast zbitą przednią szybę, przednią lampę, uszkodzoną zderzak i pokrywę maski oraz boczną część obłachowania nadwozia. Jest niesprawny. W każdym razie silnik nie chciał zapalić.

— Dziwnie referujecie tę sprawę — po-

wiedział w zamyśleniu prokurator. — Macie w tym jakiś cel?

— Tak — przyznał Smolak. — Bo to i dziwna sprawa. Werenda twierdzi, że starał się najpierw udzielić pomocy rannemu, lecz szybko zdał sobie sprawę, iż nie zdoła mu pomóc. Odciągnął więc ciało z jezdni, wóz pozostawił na światłach, a sam pobiegł do pobliskiego klubu na przystani, skąd telefonicznie powiadomił o wypadku pogotowie lekarskie i pogotowie MO. Powiadomienie przyjęte około godziny drugiej trzydzieści pięć, a więc trzydzieści lub czterdzieści minut po wypadku. Czas określamy według wyjaśnień Werendy. Jeśli mu wierzyć, ponosi on tylko niewielką winę za spowodowanie tego wypadku. Niemal wyłączną winę ponosi — jego zdaniem — pieszy. Inna sprawa, że Werenda przyznaje się, że był po wódce.

— Zgadza się — potwierdził Janikowski. — W laboratorium ustalono, że we krwi kierowcy znajdowało się 0,39 promila alkoholu.

— No, właśnie. Werenda wspomina o dwóch kieliszkach koniaku. Nie jest to stan nietrzeźwości, ale jest to stan wskazujący na użycie alkoholu i może mieć znaczenie przy ustalaniu stopnia winy. Jeśli jednak wierzyć wyjaśnieniom Werendy, te dwa kieliszki koniaku nie zaważyły tu szczególnie.

— Nie byłbym tak bardzo pewny — zauważył sceptycznie Janikowski. — Fakt, że był po alkoholu, wystarczy...

— Poczekaj! Ja też jestem wrogiem kierowców, którzy wypiją choćby kieliszek wódki. Pozwól, że dokończę. Otóż wydaje się, że wypadek był rzeczywiście nieunikniony i przede wszystkim zawiniony przez pieszego. W Warszawie ponad 74% wszystkich wypadków, jakim ulegają piesi, powodują oni sami.

— Towarzyszu Smolak — w głosie prokuratora zabrzmiało wyraźne zniecierpliwienie — o tym to my wszyscy dobrze wiemy. Do czego zmierzacie?

— Wspomniałem o tym dlatego, że nie możemy nie liczyć się z ogólnymi prawidłowościami. A świadków nie ma. Pozornie wszystko się zgadza, mimo to nie potrafię przyjąć bez zastrzeżeń wyjaśnień tego We-

rendy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego jechał Wybrzeżem Gdyńskim w stronę Żoliborza lub Marymontu o drugiej w nocy, gdy sam mieszka na Powiślu Czerniakowskim.

— Jakie to może mieć znaczenie? — zapytał prokurator, który mimo zniecierpliwienia z coraz większą uwagą zaczął śledzić rozwlekłe wywody Smolaka. — Każdy ma prawo jechać, dokąd mu się podoba i o każdej porze.

— Tak jest — zgodził się Smolak. — Ale zastanawia mnie znowu, dlaczego od wypadku do zawiadomienia milicji i pogotowia upłynęło przeszło pół godziny? Co robił Werenda przez ten czas?

— A co wyjaśnia on sam? — wtrącił się Janikowski.

— Twierdzi, że tej nocy chciał się po prostu przewietrzyć przed snem. Wielu właścicieli samochodów lubi krótkie przejażdżki nocą.

— Ale ta luka w czasie...

— Nie próbuje jej niczym wytłumaczyć. Obliczyłem, że wszystkie czynności, o których mówi, nie powinny były mu zająć więcej niż piętnaście — dwadzieścia minut. Nocny dozorca przystani nie spał, od razu otworzył mu drzwi i umożliwił, bez wstrętów, skorzystanie z telefonu.

— Unikat. Są jeszcze tacy?

— Poczekajcie — przerwał im prokurator. — Może u Werendy wystąpiły jakieś zahamowania psychiczne? Może przesiedział bez ruchu kilka lub kilkanaście minut w samochodzie, rozważając, co ma dalej począć? I takie zdarzają się przypadki. Minutowe wyliczenia mogą okazać się zawodne.

— Może — zgodził się Smolak. — Jednakże z tych brakujących mi kilkunastu minut muszę go dokładnie rozliczyć. Teraz parę słów o ofierze wypadku. Nazywa się Krzysztof Terecki. Rzemieślnik, handluje w pawilonach, ma lat czterdzieści cztery, człowiek niewątpliwie zamożny. To on jest właścicielem rozbitego Volvo. Jest to pojazd starego typu, ale mocny, masywny i w doskonałym stanie. Terecki pozostaje nadal nieprzytomny. Stwierdzono u niego złamanie czterech żeber, silne potłuczenia, uraz głowy i wstrząs mózgu. Stan ciężki...

— Trzeźwy?

— Lekarze nie wzięli próbki krwi do badań na zawartość alkoholu. Zajęli się ratowaniem rannego i wyprowadzaniem go z szoku, więc trudno mieć o to do nich pretensję. Ale podobno od rannego wyraźnie czuć było alkohol. Połączmy teraz ze sobą oba wypadki drogowe. Zarysowuje się następujący obraz:

Terecki, prowadząc samochód, z nie znanych nam przyczyn uderzył w drzewo. Na pewno uległ potłuczeniu. Będąc w stanie zamroczenia, wyczołgał się ze swojego wozu i ruszył w kierunku Wybrzeża Gdyńskiego. W tym czasie Wybrzeżem Gdyńskim jechał Volkswagemem inżynier Werenda. Terecki, widząc światła nadjeżdżającego pojazdu i chcąc go zapewne zatrzymać, wtargnął gwałtownie na jezdnię. Taka wersja wydaje się możliwa i przekonująca.

— Logiczne — zgodził się prokurator.

— Tak i mnie się wydawało. Terecki mieszka na Żoliborzu. Można by rzec, wracał do domu. Skręcił jednak w prawo, w boczną drogę, ku Wiśle, w mrok, w ustronne miejsce. I to można wytłumaczyć. Niejeden kierowca skręca właśnie w tym miejscu i jedzie ku Wiśle, gdy ma dziewczynę w samochodzie. Do tego momentu wszystko daje się jakoś uzasadnić. Dlaczego jednak znajdujemy zwłoki dziewczyny ukryte w krzakach? Czyżby półprzytomny Terecki był jednocześnie na tyle przytomny, by wyciągać dziewczynę z samochodu i chować ją opodal, w krzakach, pozostawiając wizytówkę w postaci własnego samochodu? Na co mógł liczyć?

— W nocy mogło mu się wydawać, że odciągnął ją dość daleko i dobrze ukrył...

— Może. Ale te wątpliwości muszą zaniepokoić. Zwłok, jak dotąd, nie udało się zidentyfikować. Mija czterdzieści osiem godzin, a nikt nie zgłosił nam o zaginięciu młodej kobiety.

Prokurator sięgnął po zapalniczki. Przez chwilę rozpalał tytoń w wygasłej fajce.

— Przeprowadzono dokładne oględziny? — zapytał Janikowski.

— Oczywiście. Dziewczyna, według opinii naszego lekarza, miała 18—22 lata. Nie znaleziono przy niej ani dokumentów, ani

torebki, ani kosmetyków, ani żadnych drobiazgów, które nosi ze sobą niemal każda kobieta. Przyczyna śmierci nie jest jeszcze zbyt jasna. Prawdopodobnie złamanie drugiego kręgu szyjnego z następowym przetrwaniem rdzenia przedłużonego. Takie urazy zdarzają się w czasie wypadku drogowego. Ale równie dobrze mógł to spowodować uraz głowy wskutek innego działania. Śmierć nastąpiła przypuszczalnie w samochodzie. Zakładamy, że już nieżywą wleczono ją z wozu. Co prawda brak widocznych śladów. Na wleczenie zwłok wskazuje jednak ułożenie rąk. Dziewczyna jest drobna, szczupła, waży mniej niż pięćdziesiąt kilo, więc można ją było także wynieść na rękach, choć powszechnie wiadomo, jak trudno się niesie bezwładne ciało ludzkie. Ktoś postarał się, abyśmy nie mogli zidentyfikować zwłok. Przeszukałem okolicę — ani śladu. Nikt niczego nie wyrzucił, nie schował, nie zniszczył. Przy Tereckim także nie znalazłem niczego, co mogłoby wskazywać na jego kontakt z tą dziewczyną. To, że zwłoki znaleźliśmy schowane niedaleko rozbitego pojazdu Tereckiego, na co zwrócił już uwagę kapitan Smolak, powinno nas skierować...

— Sugerujesz zabójstwo nie związane z tymi wypadkami drogowymi? — przerwał mu Smolak.

— Niczego nie sugeruję! Chcę tylko wskazać, że to wszystko mogło odbyć się zupełnie inaczej. Mnie się ten inżynier Werenda nie podoba. Nie wierzyłbym tak bez zastrzeżeń jego wyjaśnieniom.

Smolak uśmiechnął się. Przyzwyczał się do czupurności Janikowskiego.

— Ja też mu bez zastrzeżeń nie wierzę. Nie widzę więc powodu do sporu. Moja wersja wypadku to tylko jeden z możliwych sposobów wytłumaczenia tego, co zaszło, czy, jak wolisz, jedno z możliwych objaśnień.

— Właśnie — odpowiedział Janikowski. — Przyznasz więc, że możliwe są i inne. Szczególnie, iż twoja wersja nie tłumaczy okoliczności śmierci dziewczyny.

— Oczywiście. Powiedziałem przecież, co mnie niepokoi w tej sprawie. Trzeba koniecznie ustalić, co robił Werenda w czasie tych trzydziestu — czterdziestu mi-

nut, od zaistnienia wypadku do powiadomienia o nim milicji.

Prokurator z uwagą przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Znał obu. Wiedział, że różni ich wiek i doświadczenie. I wiedział także, że wbrew pozorom była to para szczególnie dobrana.

— A może Werenda nieściśle określił czas wypadku? Może wypadek miał miejsce kilkanaście minut później? — odezwał się wreszcie.

— Nie sądzę. To człowiek skrupulatny. Przyzwyczajony do bardzo ścisłego myślenia. Chyba że kłamie. Ale...

Pukanie do drzwi przerwało Smolakowi.

— Przyniesiono jakieś dokumenty dla porucznika Janikowskiego — sekretarka prokuratury podała zalakowany pakiet.

Janikowski, nie spiesząc się, rozerwał brzeg wielkiej szarej koperty z nadrukiem „Wydział Techniki Kryminalistycznej Stołecznej Komendy MO”.

— A jednak — powiedział po chwili — chyba ja miałem rację. Możliwa jest także inna wersja wypadku. Wśród znalezionych w Volkswagencie licznych odcisków palców, dwa z nich — zdjęte z prawej wewnętrznej klamki drzwi samochodu — pochodzą od palców dziewczyny, którą znaleźliśmy w zaroślach. Okazuje się więc, że była w wozie Werendy. I zginęła w wypadku, który spowodował Werenda!! Twój podopieczny po prostu kłamie!

Smolak słuchał w milczeniu. Natomiast prokurator wyraźnie się ożywił.

— To zmienia pogląd na całą sprawę. Czy aby nie popełniliście omyłki?

— Wykluczone. Odciski palców są zbyt wyraźne, by można było błędnie je zidentyfikować. Ta dziewczyna była w samochodzie inżyniera Werendy. To fakt nie do obalenia. A że znaleźliśmy zwłoki w pobliżu pojazdu Tereckiego, to także nie przypadek. Ktoś celowo wskazuje palcem na Tereckiego jako na winnego jej śmierci...

— Proponuję mimo to nie spieszyć się z tak kategorycznymi wnioskami — odezwał się po chwili milczenia Smolak. — Sprawa jest niewątpliwie trudna. Ja także zastanawiałem się, czy Werenda rzeczywiście jechał sam. Nie jestem taki łatwo-

wierny. Ma on jednak pewnego rodzaju alibi. Do godziny pierwszej czterdzieści pięć był w mieszkaniu swojego kolegi, inżyniera Zielińskiego, przy ulicy Górnośląskiej, tuż przy gmachu Sejmu. I był tam sam. I sam odjechał. Inżynier Zieliński odprowadzał go do drzwi wejściowych na klatkę schodową, musiał mu je bowiem otworzyć. Werenda pojechał w dół Górnośląską do Myśliwieckiej. Zieliński to widział. Jeśli więc prawdą jest, że chciał się przejechać przed snem, to skręcając w Rozbrat, później zaś ewentualnie w Ludną, w kilka minut dojechał do Wybrzeża Kościuszkowskiego. Stamtąd do Wybrzeża Gdynińskiego dla samochodziarza jeden krok. Sprawdzalem. To się zgadza w czasie. Skąd by się wzięła w wozie Werendy ta dziewczyna?

— Choćby z ulicy! Nie zdarza się tak w życiu?

— Niech i tak będzie. Ale i wówczas w tej sprawie coś się nie zgadza. Jak to sobie wyobrażasz? Po wypadku odciągnął jej ciało na tak znaczną odległość? Domyślił się, że uderzony przez niego przechodzień jest kierowcą, który nieco wcześniej także miał wypadek drogowy? Wykrył sytuację, by umieścić ciało dziewczyny niedaleko rozbitego pojazdu Tereckiego po to, by podejrzenia padły na Tereckiego? Rzeczywiście dopuszczasz taką ewentualność?

— Ale przyznasz — upierał się Janikowski — że tego rodzaju zeznanie, jakie uzyskałeś od kolegi Werendy, nie jest tym, co nazywamy alibi?

— I tak, i nie. Nie można jednak nie brać go pod uwagę.

— Więc co proponujecie, kapitanie? — przerwał im prokurator.

— To wszystko — powiedział zdecydowanie Smolak — wiąże się z dwoma wypadkami drogowymi. I dlatego my jesteśmy kompetentni do prowadzenia dochodzenia. Ale, tu przyznaję rację porucznikowi Janikowskiemu, to prawdopodobnie nie tylko wypadki drogowe. Proponuję przerwać dyskusję. Jednocześnie proszę o zastosowanie aresztu wobec inżyniera Werendy. Szkoda mi go, ale nie widzę innego wyjścia. Wszystko zależy od tego, czy

alibi, jakie nam przedstawił, jest prawdziwe. Bo jeśli jest prawdziwe, tym gorzej dla niego.

Prokurator sięgnął po nową fajkę i nabił ją tytoniem.

— Sucha lepiej smakuje — wyjaśnił. — Zawsze trzeba mieć kilka fajek na zmianę. No cóż — dodał po chwili namysłu — Werendę rzeczywiście trzeba będzie zatrzymać w areszcie. A tak na marginesie tego, co mówiliście: jest jeszcze jedna okoliczność warta przemyslenia. Jeśli się komuś przydarzy wypadek drogowy, to telefonuje nie tylko do pogotowia lekarskiego i do milicji. Zawiadamia także najbliższą rodzinę lub przyjaciół, by wiedzieli, co mu grozi, i co tu ukrywać, zaczęli działać. Czy Werenda od was z biura dzwonił do kogoś, że miał wypadek i może być zatrzymany?

— Nie. Nie przypominam sobie.

— No to nad tym pomyślcie.

---

## IV

---

Choć mijał czwarty dzień dochodzenia, Smolak nie zgodził się na opublikowanie w prasie i telewizji fotografii znalezionej dziewczyny. A propozycja wydawała się frapująca. Odpowiednio ucharakteryzowana twarz zmarłej czyniła na fotografii wrażenie żywej. Nawet w oczach widoczny był „żywy blask”, wywołany wkropleciem gliceryny.

Janikowski nie zapomniał nawet o odтворzeniu właściwego uczesania, a na fotografii widoczna była część sukienki, będącej również elementem ułatwiającym rozpoznanie. Smolak jednak projekt opublikowania fotografii w prasie i telewizji wraz z apelem do społeczeństwa o rozpoznanie i podanie informacji odrzucił i zbyt lapidarnym stwierdzeniem:

— Nie jestem zwolennikiem zasady *aux grands maux les grands remèdes* \*. I nie potrzebuję w tej sprawie szumu.

Nie kwapił się także do ponownego przesłuchiwania inżyniera Werendy. Raz tylko polecił doprowadzić go z aresztu i wskazując na fotografię dziewczyny zapytał:

— Znacie ją?

Zatrzymany przez dłuższą chwilę wpatrywał się w portretowe zdjęcie leżące na biurku Smolaka.

— Nie — powiedział. — Kto to jest?

— Widzieliście ją kiedyś? Gdzie? — ostro natarł na niego Smolak.

Werenda wyraźnie się zawahał.

— Chyba nie — odpowiedział. — A może? Nie! — oświadczył nagle stanowczo. — Na pewno nie widziałem jej nigdy!

Smolak zapalił papierosa, czestując nim jednocześnie zatrzymanego. Później bez słowa wyjaśnienia polecił wyprowadzić go i odwieźć do aresztu śledczego. To, czego chciał się dowiedzieć, osiągnął nadspodziewanie łatwo. Nagłe i gwałtowne zaprzeczenie w rzeczywistości było przyznaniem.

A więc jednak ją widział — pomyślał. — Tylko nie chce przytaknąć, bo musiałby także powiedzieć, gdzie ją widział i w jakich okolicznościach. W tym coś tkwi. On ją nie tylko widział, ale i zapamiętał. A w każdym razie z kimś lub z czymś ją nagle skojarzył. I to jest ślad.

Podszedł do wielkiego planu miasta Warszawy i zaczął go szczegółowo studiować. Przy tej czynności zastał go Janikowski.

— Chcesz wydedukować, skąd przyjechały oba pojazdy? — zorientował się od razu.

— Próbuję — lakonicznie odpowiedział Smolak.

— I myślisz, że jest to możliwe?

— Kto wie? Oba podążały w różnym czasie w tym samym kierunku. W stronę Żoliborza bądź Marymontu. Może był to przypadek, a może coś innego za tym się kryje? Nie wiemy, dokąd każdy z kierowców zamierzał dojechać. Zastanówmy się

więc, skąd przyjechali. To daje pewną szansę. Można wyliczyć ulice, którymi ewentualnie dojechali do Wybrzeża Kościuszkowskiego, Wybrzeża Gdańskiego lub Gdyńskiego. Tych ulic jest, licząc od Ludnej, siedemnaście.

Janikowski również podszedł do planu Warszawy, zasłaniającego niemal całą ścianę niewielkiego gabinetu Smolaka.

— Takie założenie jest prawidłowe, ale tylko w stosunku do Werendy. Wiemy, z jakiego kierunku nadjeżdżał. Terecki jednak mógł równie dobrze przyjechać z Żoliborza lub Marymontu albo choёby z Pragi. Nie ma takiej przesłanki, która by wskazywała, że obaj podążali w tym samym kierunku.

— Mylisz się. Jest taka przesłanka. To dziewczyna, której zwłoki znaleźliśmy niedaleko wozu Tereckiego. Ona wraz z oba wypadki. Pomyśl! Odciski palców dziewczyny znajdujesz w Volkswagencie Werendy, a ciało niedaleko Volvo Tereckiego. Sam przecież mówiłeś, w oparciu o oględziny wozu Tereckiego, że wszystko wskazuje, iż miał on pasażera. Zgadza się?

— Tak.

— Werenda widział tę dziewczynę przed wypadkiem...

— Myślę, że wioził ją swoim samochodem — skorygował go Janikowski.

— A tego właśnie nie wiemy! Spostrzegłeś, że zarówno Terecki, jak i Werenda byli ubrani w wyjściowe garnitury?

Janikowski zaczerwienił się. Tego szczegółu rzeczywiście nie wziął pod uwagę.

— Mogę więc przypuszczać, że tej nocy obaj kierowcy musieli ją widzieć, a jeden przywieźć w to miejsce, gdzie poniosła śmierć?

Janikowski zamyślił się. Po chwili wahania zdecydował się na szczerą odpowiedź:

— Janie! Ta sprawa przerosła normalne dochodzenie o spowodowanie wypadku drogowego. Oddaj ją!

— To samo dałoby się powiedzieć o wielu wypadkach drogowych. Jedne stają się coraz trudniejsze, inne znów wiążą się z jakimś drugim przestępstwem.

Janikowski raz jeszcze podszedł do planu Warszawy.

\* Francuskie — „W ciężkich przypadkach potrzebne są gwałtowne środki”.

— Siedemnaście ulic... — powiedział cicho. — Niemało tego.

— Niemało — zgodził się Smolak. — Ale i nie tak dużo, aby nie można było z tej informacji skorzystać.

— Gdzie chcesz rozpocząć poszukiwania? W lokalach nocnych? Dziewczyna nie była ubrana tak, jak gdyby wybierała się na bal.

— Ale tak, że mogła wejść do każdego lokalu. Zresztą nie o to chodzi. Werenda z uporem twierdzi, że był u swojego kolegi. Natomiast żona Tereckiego, gdy dowiedziała się, że mąż rozbił samochód i jest ciężko ranny, po chwilowej rozpaczypadła w złość. Zaczęła krzyzczeć: „Ten stary pijak i dziwkarz znów zalał się pewnie w jakiejś knajpie. Jak co sobota! Zabierzcie mu wreszcie prawo jazdy, zanim zabije kogoś albo siebie”.

— I dlatego chcesz odnaleźć lokal, w którym Terecki spędził wieczór i noc z soboty na niedzielę? Wyznaczasz lokale znajdujące się przy ulicach lub w ich pobliżu, którymi można zjechać do nadwiślańskiej trasy?

— Mniej więcej.

— A nie prościej zapytać Tereckiego, w jakim lokalu bawił się tej nocy?

— Prościej — uśmiechnął się Smolak. — Tylko jest to niewykonalne. Terecki nadal nie nadaje się do prowadzenia z nim rozmów. Lekarze ostrzegają, że jego pamięć może zostać zakłócona amnezją. Muszę także liczyć się z ewentualnością, że Terecki nie zechce powiedzieć prawdy. Do czego ma się dobrowolnie przyznać? Że był pijany i wiózł po pijanemu dziewczynę, która w związku z wypadkiem zmarła? I że jej ciało schował w krzakach?

Janikowski podniósł się z krzesła.

— Uparty jesteś — powiedział z uznaniem i jednocześnie z nutą rezygnacji w głosie. — Ciekawe, dokąd cię to zaprowadzi?

Smolak zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

— Widzisz — powiedział wreszcie — to jest taka cholerna sprawa, że zamiast przesłuchiwać świadków, którzy mogliby cokolwiek powiedzieć o zdarzeniu, przesłuchuję sam siebie. I stale sprawdzam,

czy mówię prawdę. Albo się sprzecam z tobą. I wiesz, czego się obawiam najczęściej? Zwykłego przypadku, którego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Kluczem do tej zagadki może być nieżyjąca dziewczyna. Jak dotąd nikt nie zgłosił nam o jej zaginięciu. Ewentualne ustalenie, gdzie tę noc spędzała, powinno nas naprowadzić na właściwy ślad. A każdy dzień powoduje zmniejszenie takiej możliwości. Cechą ludzkiej pamięci jest nie tylko zapamiętywanie, ale i zapomnianie. Może się okazać, że gdy wreszcie ustalimy personalia dziewczyny, nie potrafimy już ustalić, gdzie była tej krytycznej nocy. Musieli ją przecież widzieć jacyś ludzie, którzy być może poza tym, że ją widzieli, nic więcej o niej nie potrafią powiedzieć. Tych ludzi muszę jak najszybciej odnaleźć.

— Nie lepiej więc opublikować w prasie jej fotografię? — Janikowski znów wspomniął o swojej koncepcji. — Otrzymałbyś prawdopodobnie dziesiątki informacji.

— Niewątpliwie. Tylko nie jestem pewny, czy byłoby to najważniejsze posunięcie. Dajmy temu spokój.

— A jeśli mylisz się? Skąd pewność, że dziewczyna przebywała tego wieczoru w lokalu? A może była u kogoś w domu? Na przykład z Tereckim w jego, przypuścmy, garsonierze?

— Toby jej nie wiózł w takie miejsce nad Wisłę. Zresztą nie myśl, że jestem bezkrytyczny i uparty. Tożsamość dziewczyny ustalają od wczoraj dzielnicowi. Otrzymali fotografię. Ale wiesz, jak jest. Na wyniki trzeba poczekać. Jak w każdej takiej akcji.

— No cóż. Moja rola w tej sprawie już się skończyła. Przyniosłem ci ostatnie wyniki badań. Weź pod rozwagę, że w wozie Tereckiego odcisków palców tej dziewczyny nie znaleziono. Ujawniliśmy wprowadzić jakieś fragmenty i rozmary, ale tak trudne do identyfikacji, że nie licz na nie.

— Była pijana?

— Nie na tyle, by nie kontrolowała swojego postępowania; 0,60 promille alkoholu we krwi. Nie była w ciąży, brak śladów jakiegokolwiek gwałtu. Uraz, powodujący zgon, mógł powstać od silnego ude-

zenia głową w dach pojazdu, z jednoczesnym wygięciem głowy. Podrzuciło ją do góry, gdy samochód wyrznął w przeskodę. Nieczęsto to się zdarza, ale były już takie wypadki. Oczywiście, o ile był to wypadek drogowy...

— Co jeszcze?

— W popielniczce Volkswagena znaleźliśmy niedopałki papierosów. „Piasty”. Na filtrach znajdują się ślady pomadki do warg. Jakaś kobieta paliła papierosy siedząc obok kierowcy. Może to cię wreszcie przekona?

Smolak nie odpowiedział, więc Janikowski ruszył do drzwi i zatrzasnął je za sobą z hałasem.

Jeszcze tego samego wieczora Smolak podjął poszukiwania według ułożonego przez siebie programu. Rozpoczął od restauracji i nocnych lokali Starego Miasta. Obszedł kilka, pokazując kierownikom sal lub starszym kelnerom fotografię Tereckiego i nieżyjącej dziewczyny. Bez skutku. Dopiero około pierwszej w nocy, w „Bazyliżku”, usytuowanym w samym Rynku Starego Miasta, zdobył pierwszą informację. Starszy kelner rzucił tylko okiem na zdjęcie i bez wahań oświadczył:

— Ależ tak! Znam go! To pan Terecki. A on co znowu przeskrobał? Upił się? Okradli go?

— Nic z tych rzeczy — uspokoił go Smolak. — Kiedy widział go pan po raz ostatni? Czy był u was w ubiegłą sobotę?

— Zaraz. Niech pomyślę. Nie! Nie było go! Nawet dziwiliśmy się, co to się dzieje, że pan Terecki do nas nie zagląda.

— Przychodził sam?

— A kto do restauracji sam przychodzi? Najczęściej bywał tu z kolegami. Czasem przyszedł z jakąś kobietą, innym razem w większym towarzystwie. Wie pan, jak to jest. A jego stać na to.

— Zna pan kobiety, z którymi przychodził? — nie ustępował Smolak.

Kelner skrzywił się z niesmakiem:

— Też, o którą pan pyta, wśród nich nie było.

— Przyjeżdżał swoim wozem?

— Różnie bywało — coraz bardziej nie-

chętnie informował starszy kelner. — Gdy popił, wóz zostawiał na parkingu, a sam zwoził taksówkę. Teraz to nie ma problemu. Na Rynek nikt wozem nie wjedzie.

Rozmowa rwała się. Smolak czuł, że więcej niczego się nie dowie. Rozumiał, że kelner nie chce powiedzieć więcej, niż musi, o swoich stałych gościach. I nie miał mu tego za złe. Informacje, które uzyskał, nie przedstawiały większej wartości. Po upływie następnej godziny i odwiedzeniu dalszych trzech nocnych lokali, ponownie natrafił na interesujący go ślad.

Bufetowa nocnego barku o młodzieżowym charakterze była niemalże pewna, że „kiedyś widziała tę z fotografii”.

Dziewczyna przychodziła tu w towarzystwie młodych ludzi zachowujących się dość swobodnie i hałaśliwie. Pili umiarkowanie, najczęściej piwo lub wino. Z kim przychodziła i jak się nazywa, tego nie potrafiła powiedzieć. Przy takim tłoku nikt nie był w stanie zapamiętać, kiedy, kto i z kim bywa. Zresztą, jak wyjaśniła Smolakowi, „w tym wszystkim trudno się jakoś połapać”. Niektórych oczywiście zna. Ale i o nich niewiele może powiedzieć.

— Ich towarzyskie układy zmieniają się tak często. Przysiadają się do stolików, rozsiadają, w jednym towarzystwie przychodzą, w innym wychodzą. Oni sami niekiedy, poza imieniem, nic o sobie nie wiedzą. Oczywiście nie chodzi tu o studentów czy młodych absolwentów. Ci znają się bardzo dobrze. Ale dziewczyna nie wygląda mi na wywodzącą się z tego grona. Gdyby pan ich zapytał — wskazała na salę — może powiedzieliby o niej więcej. Ale tego właśnie Smolak nie chciał zrobić.

Gdy wyszedł i spojrzął na zegarek, uświadomił sobie, że przecenił własne siły. Minęła noc, a on sprawdził zaledwie dziewięć spisanych przez siebie nocnych lokali. W takim tempie nie zdoła obejść wszystkich nawet w ciągu tygodnia. Mimo to po raz pierwszy od chwili, gdy wszczął postępowanie w tej sprawie, był z siebie zadowolony. Przyjęty przez niego program rokował pewne nadzieje.

Wolnym krokiem ruszył w kierunku parkingu na placu Zamkowym, gdzie po-

zostawił swojego Wartburga. Była godzina 3.30.

Początkowo miał zamiar pojechać do domu, ale przy hotelu „Bristol” skręcił w ulicę Karową. Wiaduktem Markiewicza, zwanym „ślimakiem”, ruszył w dół ku Wiśle. Po chwili wjechał na Wybrzeże Gdańskie.

O tej godzinie było niemalże wyludnione. Ruch kołowy — minimalny. W dali dostrzegł wprawdzie światła jakiegoś pojazdu, ale i one szybko zniknęły za zakrętem. Tylko na lewo, na wysokiej skarpcie, jak kolorowe domki z kart, rysowały się zabudowania Starego Miasta.

Lekko docisnął pedał przyspieszenia, przejechał pod przęsłami mostu, wjeżdżając na Wybrzeże Gdyńskie. Zwolnił. Dojechał do skręcającej w prawo bocznej, pokrytej brukowcem ulicy, wiodącej ku Marymontowi, która nosiła — jak głosiła tabliczka — nazwę „Wisłostrada”.

Zatrzymał się, wyłączył reflektory, pozostawiając jedynie światła postojowe. Zapalił papierosa.

Tu się wszystko zdarzyło — pomyślał. — W obrębie kilkuset metrów. Dlaczego Terecki skręcił na tę wyludnioną drogę? A później zjechał z niej i uderzył w drzewo? Czyżby był aż tak bardzo pijany? I skąd wzięta się dziewczyna? Kto ją tu przywiózł? Werenda czy Terecki? A może żaden z nich? Ślady wskazują na Werenkę. Musiała być w jego samochodzie. Odciski palców same nie przenoszą się z miejsca na miejsce. Ale z drugiej strony...

Ani się spostrzegł, jak zrobiło się jasno. Wracać do domu nie miało sensu. Zdecydował, że pojedzie do siebie, do WKRD. Nagromadziło się przez te cztery dni wiele zaległych spraw. Po drodze, starym zwyczajem pracowników pionu kryminalnego pracujących nocą, postanowił wstąpić do dworcowego baru, by napić się kawy i zjeść jakieś śniadanie.

Dwoma sprawnymi ruchami zawrócił Wartburga. Ruszył w dół Wisły. Z Wybrzeża Gdyńskiego skręcił pod górę, w ulicę Krasieńskiego. Przy końcu wzniesienia odruchowo spojrzał w lewo. I wówczas dostrzegł stojącą w głębi chodnika kabinę automatu telefonicznego...

Zaklął. Zahamował tak gwałtownie, że aż koła zablokowały. Nie wyłączając silnika, wysiadł z samochodu.

Podniósł słuchawkę. Usłyszał sygnał.

Brakujące dwadzieścia minut... — przemknęło mu przez myśl. — Jeśli się komuś przydarzy wypadek, telefonuje nie tylko do milicji...

Powoli powiesił z powrotem słuchawkę na zaczep widełek.

Alibi inżyniera Werendy stawało się w tej sytuacji bardzo problematyczne.

---

## V

---

— To rzeczywiście trudna sprawa — powiedział w zamyśleniu naczelnik Wydziału Ruchu Drogowego Stołecznej MO po wysłuchaniu szczegółowego sprawozdania Smolaka. — Podejrzewasz zabójstwo?

— W pewnym sensie. O ile wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym tak można nazwać.

— Potrzebujesz pomocy?

— Tak. Sam nie dam rady. Oprócz tej sprawy prowadzę dochodzenia w dwóch innych. Chciałbym, aby pion kryminalny zajął się identyfikacją zwłok dziewczyny.

— Co jeszcze?

— Dobrze by było, gdyby także wzięli na siebie poszukiwania, które rozpocząłem w nocnych lokalach. To drugie jest nawet pilniejsze.

— Zgoda. Porozumiem się z nimi. Masz to z głowy. Dwóch wywiadowców wystarczy?

Smolak uśmiechnął się. Takie decyzje rozwiązywały wiele problemów.

— Współdziałanie w tej sprawie przyda się. Jeszcze nie wiadomo, dokąd to dochodzenie nas doprowadzi. Dziwna sprawa...

— Albo do kogo. Grono podejrzanych powinno się niedługo powiększyć.



— I ja tak przypuszczam — zgodził się Smolak. — Dziękuję za pomoc, szefie. I odmeldowuję się.

Wykorzystując wolną chwilę, Smolak postanowił pojechać do Instytutu, w którym pracował Werenda. Nie obiecywał sobie zbyt wiele po tej wizycie, ale i nie chciał niczego zaniedbać. Teoretycznie wszystko może być źródłem informacji, o ile wie się, o co należy pytać. O ile wie się...

Dyrektor, wysoki, szczupły mężczyzna w nieokreślonym wieku, ubrany w tradycyjnie ciemny garnitur, po przywitaniu się gestem zaprosił go, by usiadł w fotelu przy niskim, podłużnym stoliku. Sekretarka podała kawę.

— Panie dyrektorze, interesuje mnie osoba inżyniera Werendy. Prowadzę śledztwo w sprawie wypadku drogowego o dość tragicznych skutkach. Chciałbym dowiedzieć się, jak Instytut ocenia Werendę jako pracownika. Podobno ma on otwarty przewód doktorski?

Dyrektor przez chwilę się wahał.

— Jak wam to powiedzieć? — zaczął ostrożnie. — Niewątpliwie dobry fachowiec. Rzeczywiście już wkrótce powinien złożyć pracę. No, oczywiście, zobaczymy, co z tego wyszło. Praca nie była przecież jeszcze recenzowana. Inżynier zbyt często popada w konflikty z otoczeniem. Wszystko chciałby pozmienić...

Smolak przymknął oczy.

Dlaczego — pomyślał — przełożeni asekurują się, gdy przychodzi do wydania opinii o podwładnym?

— Prawdę mówiąc niewiele o nim wiemy — dodał dyrektor.

— Pracuje tu ponad cztery lata — zdziwił się Smolak.

— To prawda. Ale cóż więcej można powiedzieć? Samotny, o nieustabilizowanym życiu osobistym. W zasadzie z nikim w Instytucie nie przyjaźni się. Ach, tak, z wyjątkiem inżyniera Zielińskiego. Oni razem kończyli studia. Trudno rozgryźć takiego człowieka jak Werenda.

— Panie dyrektorze! Inżyniera Werendę zatrzymaliśmy z powodu wypadku drogowego. Żadne inne zarzuty na nim nie ciążyą — Smolak dodał to celowo, z na-

ciskiem. — Został jednak ciężko ranny pieszki, a inżynier był po wódce.

— Dwa kieliszki i zaraz po wódce — niespodziewanie lekceważąco przerwał mu dyrektor. — Byłem niedawno we Francji. Gdyby tam tak reagowano jak u nas na wypicie kieliszka alkoholu, to o każdym kierowcy dałoby się powiedzieć, że jest „po wódce”. Mówili mi już nasi pracownicy, gdzie był inżynier Werenda i co robił. Jego wypadek to normalne koszty współczesnej cywilizacji. I zaraz do aresztu. To przecież bzdura! Będę interweniować!

Smolak, zdziwiony tą nagłą zmianą, przyglądał mu się uważnie. A więc wiedział! Ale na wszelki wypadek asekurował się, gdy trzeba było wydać opinię. Teraz zaś, kiedy upewnił się, że to był tylko „wypadek drogowy”, zmienił front. Kapitana zaczęła ogarniać wściekłość.

— Małe dawki alkoholu mogą być tak samo niebezpieczne, jak dawki większe — powiedział beznamiętnym głosem, starając się zapanować nad sobą. — Nawet przy bardzo małym stężeniu alkoholu we krwi szansa spowodowania wypadku drogowego wzrasta wielokrotnie. O tym każdy powinien wiedzieć. Na Zachodzie nie są innego zdania.

Chciał jeszcze coś dodać, ale zrozumiał, że to bezcelowe. Jego argumenty trafiały w próżnię. Co najgorsze, nie rozumiał, dlaczego. Nie po raz pierwszy spotkał się zresztą z taką niczym nie usprawiedliwioną tolerancją, odzwierciedlającą szkodliwe i raczej powszechne nastroje.

Niech interweniuje, u kogo chce — pomyślał z irytacją. — Ciekawe, co by powiedział, gdyby dowiedział się prawdy? Odsądziłby prawdopodobnie Werendę od czci i wiary. Zaczęłyby udowadniać, że on to już od dawna przewidywał.

Dopił kawę i pożegnał się.

W sekretariacie natknął się niespodziewanie na inżyniera Zielińskiego, który sprawiał wrażenie, jak gdyby celowo na niego czekał.

— A, to pan! — przywitał go Smolak. — Dobrze, że pana widzę. Właśnie chciałem zamienić z panem kilka słów. Można tutaj?

Zieliński zmieszał się.

— Bardzo proszę. Ja także chciałem o coś spytać.

— W takim razie słucham.

Zieliński jednak, mimo zachęty, nadal się wahał.

— Czy mógłbym zobaczyć się z kolegą Werendą? — wykrztusił wreszcie, starając się nie patrzeć Smolakowi w oczy.

— Raczej nie. Może w późniejszym terminie, jak dochodzenie zostanie zakończone.

— Rozumiem... A wolno postać mu książki, gazety, i coś do jedzenia?

— Bardzo proszę — zgodził się Smolak. — Wprawdzie regularnie dostarczamy do aresztu prasę, a w bibliotece są książki, ale bardzo proszę.

— Dziękuję panu. Pozwoli pan, że zgłoszę się jutro?

— Oczywiście. Będę jutro dłużej pracował. Więc może po południu? Około godziny piętnastej?

— Dobrze. Do widzenia, panie kapitanie.

Smolak nagle uśmiechnął się.

— Ale *à propos*, inżynierze! Tak między nami. Naprawdę nie ma pan mi nic więcej do powiedzenia?

— Nie rozumiem? — Zieliński zatrzymał się w pół kroku.

— Ależ pan na pewno rozumie, inżynierze. Czy nie przyszło panu przypadkiem na myśl, że może warto nieco skorygować swoje zeznania? I to z własnej inicjatywy? — Nie dopuszczając już zaskoczonego Zielińskiego do głosu, dodał z naciskiem: — Bo widzi pan, inżynierze, chciałbym dać panu szansę wyjścia z twarzą z całej sprawy. Ja także wiem, co to jest przyjaźń. Ale nawet dla utrzymania przyjaźni nie wolno posuwać się za daleko. Więc jak? Potrzebuje pan czasu do namysłu? Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał... Rozumie pan, przed czym chcę pana ostrzec? Proszę sobie przypomnieć, kto do pana telefonował tej pamiętnej nocy i po co. A więc do jutra — dodał po dłuższej chwili milczenia. — Umówiliśmy się! A książki i czasopisma dla inżyniera Werendy proszę oczywiście wziąć ze sobą. Do widzenia!

Słoneczna wrześniowa pogoda nie nastrojała do powrotu do komendy. Smolak postanowił więc pojechać na Pragę. Już rano otrzymał wiadomość ze szpitala, że Terecki, choć osłabiony, może ewentualnie odpowiedzieć na kilka pytań.

— Spróbuj! — powiedział zaprzyjaźniony ze Smolakiem lekarz, wielki, niemalże dwumetrowy chirurg, w przeciwieństwie do wzrostu i tuszy łagodny i pogodny jak dziecko.

Smolak po tej rozmowie obiecywał sobie wiele. Jedno słowo Tereckiego mogło przecież rozwiązać zagadkę, która być może w ogóle nie była żadną zagadką.

Spotkał go jednak zawód. Sprawdziły się prognozy lekarskie. Uraz głowy wywołał amnezję. Ograniczona w czasie luka pamięciowa, jaka wystąpiła u Tereckiego, choć tylko częściowa, dotyczyła tych właśnie zdarzeń, które Smolaka interesowały najbardziej.

— Tylko nie męcz mi za bardzo chorożo — ostrzegł go doktor Feliński. — Mamy nadzieję, że za kilka lub kilkanaście dni będzie mógł rozmawiać godzinami. I jeszcze jedno — bez drastycznych pytań.

— Rozumiem. Wiesz, że nie należałbym, gdyby nie to, że poszukuję jakiegoś śladu, nie wiedząc nawet dobrze, jakiego. Muszę od Tereckiego czegoś się dowiedzieć. To nie był zwyczajny wypadek drogowy.

— Domyślam się. Lecz mimo to nie rozmawiaj dłużej niż kilka minut. Pamiętaj! To uraz głowy! Nie mogą ryzykować. A w ogóle — on przebywa na ogólnej sali. Weź to pod uwagę i nie rób zbytnej sensacji.

Warunków do przesłuchania nie było. Kilkułóżkowa ciasna sala nie pozwalała nawet na prowadzenie swobodnej rozmowy.

Smolak znał ciężkie warunki Szpitala Praskiego i liczył się z nimi. Zresztą o formalnym przesłuchaniu Tereckiego nie mogło być mowy, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdował. Kapitan wiedział jednak, że każde słowo, wypowiedziane przez Tereckiego, może być bardzo ważne.

Dlatego zabezpieczył się, zabierając ze sobą mały, bateryjny magnetofon.

— No jak się dziś czujemy? Lepiej? — zagadnął Tereckiego doktor Feliński, oglądając jednocześnie kartę chorego i ostatnie zapisy.

— Dzień dobry — włączył się Smolak. — Cieszę się, że pan lepiej się czuje.

Przysiadł na krawędzi łóżka.

Terecki uśmiechnął się i skinął głową.

— Prowadzę dochodzenie w związku z wypadkiem, jakiemu pan uległ — powiedział półgłosem Smolak, a widząc u ranego objawy niepokoju, dodał pośpiesznie: — Proszę się nie denerwować. Zawsze tak bywa, gdy ktoś ma wypadek drogowy. Potrzebuję tylko kilku wyjaśnień. Pamiętaj pan, jak to się stało?

Terecki z wysiłkiem uczynił przeczący ruch głową.

Smolak spojrzął pytająco na Felińskiego, ale ten rozłożył jedynie ręce.

— Rozumiem — powiedział kapitan do Tereckiego. — Tak się czasami zdarza. Nie chodzi jednak o szczegóły. Niech pan spróbuje sobie tylko przypomnieć, skąd pan jechał i dokąd. Pan jechał swoim samochodem?

Terecki zmarszczył z wysiłku czoło. Kilka razy poruszył bezdzwicznie wargami.

— Jaka myśl pana prześladowa? — dopomógł mu doktor Feliński. — No, śmiało! O czym pan teraz myśli?

— Byłem gdzieś, gdzie grała muzyka — powoli powiedział Terecki.

— Muzyka czy orkiestra? — podchwycił Smolak.

— Chyba orkiestra — wymamrotał po dłuższej chwili chory. — Grali taką jedną melodię...

— No, widzi pan! — z przesadnym uznaniem wykrzyknął Smolak. — Pan na pewno wiele sobie przypomni. Nieco wiary we własną pamięć i wszystko szybko się wyjaśni.

— Będę siedział? — niespodziewanie zapytał Terecki.

Smolak drgnął.

— Za co?

— Żona mówiła...

— Babskie gadanie! — wmaleszał się

Feliński. — Więcej jej tutaj nie wpuszczę! Niech pan lepiej pomyśli, jak doszło do wypadku. Kapitan chce panu pomóc.

Terecki poruszył się na łóżku. Z wysiłkiem próbował usiąść. Lekarz pomógł mu, podsuwając poduszkę pod plecy.

— Byłem chyba w jakimś barze — powiedział chory niepewnie. — Siedziałem przy barze. Ale kiedy to było?

— I dalej... Co było dalej?

— Chyba jechałem do domu. Bo gdzie mógłbym jechać? Zawsze wracam do domu.

— Sam wyszedł pan z tego baru? Gdzie się ten bar znajduje? Niech pan pomyśli. Czy sam pan jechał samochodem, czy z kimś? To bardzo ważne, panie Terecki!

Terecki ze zdziwieniem spojrzął na Smolaka. Później przeniósł wzrok na Felińskiego, jak gdyby szukając u niego pomocy.

— Chyba byłem sam — odpowiedział niezdecydowanie. — Nie pamiętam. Później jechałem krętą drogą. Dlaczego mówicie, że nie byłem sam?

— Niech pan się zastanowi. Może jednak był pan z jakąś kobietą? — nie ustępował Smolak. — No jak? Była z panem jakaś kobieta?

— Nie zadawaj takich pytań — szepnęła Feliński. — Takie pytanie...

— Mówi pan, że byłem z jakąś kobietą? — szepnęła Terecki. — Była jakaś kobieta. Ale czy wychodziła wraz ze mną? Nie pamiętam...

— Na dzisiaj dość — zdecydował nagle Feliński. — Chory jest już zmęczony.

— Tylko jeszcze jedno pytanie. Niech pan spróbuje się skoncentrować. Mówi pan, że wsiadł sam do samochodu i jechał do domu. I co zaszło w czasie drogi? Co pan pamięta?

Terecki zamknął oczy. Z rezygnacją znów potrząsnął głową.

— Myślę o tym bez przerwy. Nie wiem, co się stało... Głowa zaczęła mnie boleć. Bardzo boleć... Nie męczcie mnie...

Feliński szarpnął za rękaw szpitalnego fartucha, który Smolak narzucił na mundur.

— Idziemy! — powiedział ostro. — Wpadnę później do pana — zwrócił się

do chorego. — Jakby pan czegoś potrzebował, proszę powiedzieć siostrze, by mnie zawołała.

Gdy znaleźli się w pokoju lekarskim, Feliński z wyrzutem spojrzął na Smolaka:

— Umowa to umowa. A poza tym popełniłeś błąd. Nie przerywaj mi — dodał patrząc Smolakowi prosto w oczy. — Zasugerowałeś mu, że jechał z jakąś kobietą. To twoje myśli, nie jego. To się nazywa „sugestia z boku”. On teraz godzinami będzie rozważał, czy rzeczywiście był z jakąś kobietą, czy nie, czy jechał z nią, czy też jechał sam, szczególnie że boi się tego. Bo jemu rzeczywiście w myślach płacze się jakaś kobieta. I gotów teraz w coś głęboko uwierzyć, co może wcale nie być prawdą, albo postanowi nie przyznać się do tego, choćby sobie coś rzeczywiście przypomniął. Nie uczyłeś się psychologii?

Smolak zarumienił się.

— Masz rację — powiedział z zakłopotaniem. — Zagalopowałem się. Ale chciałem ten szczegół wyjaśnić za wszelką cenę. A jak z nim będzie? — zmienił celowo temat.

— Nie jestem wróżką — mruknął Feliński. — Luka pamięciowa, jaka wytworzyła się u chorego, obejmuje czas bezpośrednio poprzedzający wystąpienie zaburzenia świadomości. Tę lukę w normalnych warunkach można uzupełnić przez podpowiedzenie choremu, gdzie był i co robił, po to, by nie musiał żyć ze świadomością, że ma przerwę we własnym życiorysie. Ale w tym przypadku? To ty przecież chcesz się dowiedzieć od niego, co robił, gdzie był i co się zdarzyło?

— I muszę się tego dowiedzieć. Wiem, że jego zeznania nie mają większej wartości dowodowej. Ja się z tym liczę. Ale gdy szuka się rozwiązania jakiejś zagadki, każda informacja może mieć znaczenie. Bez względu na późniejsze trudności dowodowe. Muszę znaleźć jakiś sposób dopomożenia jego pamięci!

Feliński ostrożnie nalał z termosu kawy do dwóch niewielkich filiżanek.

— Psychologia zna pewne sposoby pomagania pamięci — powiedział w zamysleniu. — Musisz jednak poczekać. Po-

wiedzmy tydzień. Niech pacjent nabierze sił. Może wspólnie coś wykombinujemy? Tylko nie przeceniaj tych możliwości. Jadę do domu na obiad. Podwieźć cię?

— Dziękuję, mam wóz na dole. Wiesz? Jeszcze sześć miesięcy i koniec z płaceniem rat za samochód!

— No, to odetchniesz. Ja to już przeżyłem.

Dzwonek telefonu przerwał im rozmowę. Feliński sięgnął po słuchawkę. Po chwili podał ją Smolakowi.

— Szukamy cię od dwóch godzin — Smolak poznał głos sekretarki wydziału. Telefonowali z Komendy Dzielnicy Mokotów. Podobno ustalili nazwisko tej dziewczyny, którą znalezione na Wybrzeżu Gdyńskim. Jej rodzice są w komendzie!

— Już tam jadę! Janeczko! Połącz się z Mokotowem! Niech jej rodzicom nic o tej sprawie nie mówią.

---

## VI

---

To było trudne przesłuchanie.

Rodzice Alicji Kowalskiej, zdenerwowani zaginięciem córki, na pytania Smolaka odpowiadali chaotycznie, wzajemnie się oskarżając. Gdy pokazał im fotografię dziewczyny z Wybrzeża Gdyńskiego, rozpoznali natychmiast córkę.

Smolak wiedział, że nie ma prawa ukrywać przed nimi prawdy. Mimo to długo się wahał. Później nastąpiło najgorsze...

Zupełnie się załamali.

Nie mógł nawet odpowiedzieć na ich pytania: kto spowodował śmierć, w jakich okolicznościach, dlaczego?

Późnym wieczorem wraz z jedn. z funkcjonariuszek KD MO odwiózł ich samochodem do domu. Musiał jeszcze przeszukać pokój zajmowany do niedaw-

na przez ich córkę. Była to czynność niezbędna, lecz jednocześnie w tej sytuacji bardzo go krępująca.

Następnego dnia spał do południa. Sam sobie udzielił takiego urlopu. Dopiero około pierwszej przyjechał do WKRD.

Nie zdążył wyjąć akt z szafy, gdy do pokoju wszedł Janikowski.

— Podobno udało się zidentyfikować tę dziewczynę? — zapytał od progu. — Kto to jest?

Smolak, nie spiesząc się, rozpiął kurtkę mundurową.

— Nazywa się Alicja Kowalska — odpowiedział wreszcie. — Mieszkała na Mokotowie.

— No, to najważniejsze masz już za sobą.

— Nie byłbym taki pewny...

Janikowski spojrzał na niego zdziwiony.

— Ty zawsze masz jakieś wątpliwości — westchnął, wymownie wzruszając ramionami.

— *Hominis est errare, insipientis in errore perseverare*\*, jak mawiał mój łacinnik...

— Dobrze, dobrze — przerwał mu Janikowski. — Wszyscy wiemy, że znasz łacinę jak ksiądz. Nie musisz się popisywać. Nie to audytorium. Lepiej powiedz, czego się dowiedziałeś?

— Banalna i jednocześnie tragiczna historia. Zgłosili się do Komendy Dzielnicowej jej rodzice...

— Rychło w czas!

— Poczekaj! Nie wydawaj przedwczesnych sądów. To nie takie proste. Nie mieli z nią łatwego życia. Ich wzajemne stosunki od lat układały się źle. W tej rodzinie obie strony miały siebie wzajemnie dość. Jej rodzice to ludzie zmęczeni życiem i pracą. Nie są już młodzi, życie ich nie głaskało, mają niewielkie dwupokojowe mieszkanie i od kilku lat ani chwili spokoju. Całymi dniami magnetofon wydziera się, chmary kolegów i koleżanek o każdej porze dnia i nocy. I stałe inni. Dom przestał być miejscem, w którym można spokojnie

żyć i odpoczywać. Matka jakoś to jeszcze znosiła, natomiast ojciec coraz częściej tracił panowanie nad sobą.

— I nie potrafił zrobić z tym wszystkim porządku? Przegnać całe towarzystwo?

— To się tylko tak łatwo mówi. Rozzejrzyj się, a zobaczysz, ile jest takich domów. Odniosłem wrażenie, że jest człowiekiem słabym i niekonsekwentnym. Awanturował się, odgrażał, ale na tym się kończyło. Niemniej w nim to wszystko narastało. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Oczywiście. Gdy taki zgorzkniały, słaby i niekonsekwentny człowiek wybuchnie, w gniewie staje się nieobliczalny. Znamy to z naszej pracy.

— Teraz rodzice mówią, jak doszło do tej tragedii, przedtem wstydzili się przyznać do własnej bezsilności. Już w szkole średniej było wiadomo, że ich córka to nie materiał na studentkę. Po dwa lata w jednej klasie, ledwo-ledwo matura, korepetycje za grube tysiące. Na siłę wepchali ją na Uniwersytet, zamiast toto posłać do pracy. Gdy więc dowiedzieli się we wrześniu, że została skreślona z listy studentów, bo wiosną w ogóle nie przystąpiła do egzaminów, stało się! Ojciec uderzył ją kilka razy w twarz i kazał wynosić się z domu. Ona na to miała powiedzieć, że także ma już dość tego domu, zapakowała walizkę i poszła.

— Dokąd?

— Tego nikt nie wie. Gdy wychodziła, matka pobiegła za nią, prosząc, by wróciła. Ale sytuacja dojrzała do rozstania. Dała więc jej jakieś pieniądze i starała się przynajmniej dowiedzieć, jakie ma plany, co zamierza robić, gdzie zamieszka. Niewiele się dowiedziała. Córka powiedziała tylko tyle, że tymczasowo zatrzyma się u swojej koleżanki, którą matka знаła jeszcze ze szkoły średniej, oraz że na kilkanaście dni wyjeżdża ze znajomymi w góry. Samochodem.

— Samochodem? — powtórzył Janikowski.

— Ja także zwróciłem na to uwagę. Wczoraj jej matka spotkała na ulicy tę koleżankę, u której Alicja czy, jak ją na-

\* Łacińskie — „Ludzka rzeczą jest błędzić, głupców rzeczą trwać w błędzie”.

zywano w domu, „Lilka” miała zamieszkać. I wówczas okazało się, że nie widziały się od dawna. Ślad znów się urwał...

— Ale przecież wyprowadzając się z domu musiała na coś liczyć? Albo na kogoś?

— Prawdopodobnie. Byłem u nich w mieszkaniu. Jej pokój przeszukałem bardzo dokładnie. I nic. Myślę, że kalendarzyk z telefonami i adresami znajomych miała przy sobie w torebce. Wyobraź sobie, że jej rodzice zupełnie nie orientują się, w jakim towarzystwie ostatnio przebywała. Czy zdajesz sobie sprawę, że oni mogą tylko powiedzieć, że do ich córki przychodził jakiś „Andrzej”, jakaś „Zofia” czy coś w tym sensie? I nic więcej! Z moimi rodzicami taki numer by na pewno nie przeszedł.

— Historia wcale nie jest tak banalna, jak to się pozornie wydaje — powiedział w zamyśleniu Janikowski. — Znalazłeś może jakieś ślady powiązań tej dziewczyny z Werendą lub Tereckim?

— Nie. Nawet na to nie liczyłem.

— I naprawdę niczego więcej się nie dowiedziałeś?

— Niczego. \*

— Czekaj, a może mamy do czynienia z normalnym miejskim „auto-stopem”? Po prostu Werenda, gdy jechał nocą, dziewczyna poprosiła o podwiezienie jej do domu. A ty dziewczyn nie podwozisz, jak cię o to poproszą? Gdy są przy tym młode i ładne? Po wypadku Werenda zaczął rozpaczliwie szukać jakiegoś wyjścia z sytuacji. On nie myśli naszymi, milicyjnymi kategoriami. Nie wszystko mógł przewidzieć, działał w pośpiechu, może w panicznym strachu. Łapał się każdego pomysłu jak tonący brzytwy. Uważaj, bo możesz przekombinować sprawę!

Smolak wzruszył ramionami. Janikowski mógł mieć rację, ale...

Rozległ się dzwonek telefonu.

— Kapitanie — usłyszał w słuchawce głos dyżurnego. — Na dole czeka jakaś kobieta. Mówi, że jest z wami umówiona.

— Kobieta? — zdziwił się Smolak. — Z żadną się nie umawiałem. Jak się nazywa?

— Mówi, że przyniosła paczkę dla zatrzymanego nazwiskiem Werenda.

Smolak spojrział na zegarek. Była trzecia po południu. Na tę właśnie godzinę umówił się z inżynierem Zielińskim.

— Wpuść ją za dziesięć minut — zdecydował. — No i co? — zwrócił się do Janikowskiego. — Nowe twarze ukazują się na horyzoncie... Co ty na to? Może jednak nie przekombinuję tej sprawy?

---

## VII

---

Gdy weszła, Smolak zlustrował ją wzrokiem. Była szczupłą, wysoką brunetką o gładko zaczesanych włosach. Mogła mieć około trzydziestu lat lub nieco więcej. Ubrana skromnie, lecz elegancko — niewątpliwie zwracała uwagę mężczyzn. Stała niezdecydowanie tuż przy drzwiach.

— Pani chciała widzieć się ze mną? — Smolak gestem zaprosił ją, by podeszła bliżej. — Słucham panią!

Nie od razu usiadła na krześle stojącym przed biurkiem.

— Przyszłam — powiedziała wreszcie — bo inżynier Zieliński mówił, że pan i tak już o wszystkim wie...

Smolak lekko uniośł brwi.

— Pani pracuje...

— Tak — przerwała mu w pół zdania. — Jako technik chemik w Instytucie. Nazywam się Wikler. Joanna Wikler. Czy można zapalić?

Smolak skinął głową.

Z torebki wyjęła paczkę papierosów. „Piasty”. Głęboko zaciągnęła się dymem. Po chwili z zażenowaniem raz jeszcze sięgnęła po papierosy.

— Przepraszam. Czy pan pali?

Smolak przyglądał się jej w milczeniu. Później powiedział z naciskiem:

— Dziękuję. Nie palę „Piastów”. Zbyt słabe jak dla mnie.

„Piasty”! Skojarzenie nastąpiło niemal natychmiast. Niedopałki tych samych papierosów znaleziono w popielniczce w samochodzie Werendy!

— To pani telefonowała w nocy do inżyniera Zielińskiego? — zaskoczył ją pytaniem.

— Tak — przyznała cicho.

— Skąd, jeśli można wiedzieć?

— Z ulicznego automatu telefonicznego.

Smolak swoim zwyczajem przymrużył oczy. Nie od razu zadał następne pytanie.

— W jakim celu zmontowaliście fałszywe alibi?

Joanna Wikler niespokojnie poruszyła się na niewygodnym krześle. Po chwili wahania odpowiedziała, wążąc każde słowo:

— Jacek, przepraszam, to znaczy inżynier Werenda nie chciał, bym była w to zamieszana. Kazał mi uciekać i telefonować do Zielińskiego. Oni przyjaźnią się od wielu lat. Ja też się bałam. Wypiłam za dużo.

— I co dalej?

— Zatelefonowałam do Zielińskiego i powiedziałam, co się stało. Kazał mi natychmiast przyjeżdżać do siebie. Pojechałam taksówką. Przekazałam mu to, co uzgodniliśmy z Jackiem. Zieliński rozgniewał się. Powiedział, że jak milicja popapie się w tym wszystkim, to nie wyjdziemy z więzienia przez kilka lat. Ale było już za późno. Więc się zgodził. To wszystko...

— Niezupełnie. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie, które zaczynało się od słowa „dlaczego”.

Joanna Wikler zwarła palce tak silnie, że zbierały jej kostki.

— Teraz wydaje się to wszystko idiotyczne. Ale tam, gdy zobaczyłam leżącego na jezdni mężczyznę, ogarnęło mnie przerażenie. Jacek również był przerażony. Może odebrałby to mniej histerycznie, gdyby się tak strasznie nie bał. A on się bał...

— Czego? — przerwał jej Smolak.

Znów nie odpowiedziała od razu.

— Przecież przejechał człowieka. Bał się, że go zabił, bał się, bo był po wódce, bał

się... Panu to wyda się śmieszne... — nie dokończyła zdania. — W niektórych miejscach pracy panują takie stosunki, że nikt nigdy nie wie, co może go spotkać. A Jacka w Instytucie nie kochają, bo stale jest w jakimś konflikcie z dyrekcją. On zna się na pracy, jest doskonałym fachowcem, a nasz dyrektor jest doskonałym urzędnikiem. I dlatego zawsze ma rację. Wszystkim niby to dobrze życzy, każdemu uściśnie rękę, zawsze ma pełno frazesów na ustach, a jednocześnie tylko patrzy, jak ludzie ze sobą skłócić i jak kogoś niewygodnego wykończyć. Oczywiście zgodnie z prawem. Takiej okazji, żeby pozbyć się Jacka, on by nie przepuścił. Ja wiem, że wypadek drogowy to straszna rzecz. Ale gdyby się wydało, że Jacek i ja... że byliśmy razem...? To był naprawdę nieszczęśliwy wypadek. Przecież Jacek nie uciekł, nie pozostawił bez pomocy tego człowieka. Chodziło tylko o to, by...

— Może. Ale tak zagmatwaliście tę sprawę, że teraz nikt nie zechce wam wierzyć. Panią łączą z inżynierem Werendą bliższe stosunki? — zapytał niespodziewanie.

— Tak.

— Jest pani mężatką?

— Mąż przebywa za granicą. Otrzymał stypendium naukowe.

— Rozumiem. Nie chcę wchodzić butami w pani intymne życie, ale jestem zmuszony zadać kilka pytań natury bardzo osobistej. Czy inżynier Werenda rzucił dla pani jakąś inną kobietę?

Skinęła głową.

— Czy znała pani tę kobietę?

— Tylko z widzenia. Ale w Instytucie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. To już taka instytucja.

— Czy to jest ta właśnie kobieta? — podsunął jej fotografię Alicji Kowalskiej.

— Nie — zaprzeczyła zdziwiona. — Po raz pierwszy ją widzę. Kto to jest?

Smolak udał, że nie dosłyszał pytania.

— Zostawmy ten temat. Proszę powiedzieć, gdzie byliście i co robiliście w nocy z soboty na niedzielę? I jak doszło do wypadku?

— Po południu pojechałam do Jacka. Byłam u niego do jedenastej w nocy. Ja-

cek miał, jak zawsze, odwieźć mnie do domu. Gdy wsiedliśmy już do samochodu, nagle powiedział, że znudziło mu się stale siedzieć w domu i nosa z niego nie wychylać w obawie, że nas ktoś razem zobaczy. Chciał koniecznie pojechać do jakiegoś nocnego lokalu. Zabawić się. Jacek był zawsze niekonsekwentny w tych sprawach. Raz bał się, innym razem robił jakieś nieprawdopodobne głupstwa. Gdy jechaliśmy Krakowskim Przedmieściem, nagle skręcił w Karową i zaparkował wóz za wejściem do restauracji, niemal przy samym końcu ulicy, tuż przy zjeździe na ślimak. Nie chciałam iść do lokalu. Nie byłam odpowiednio ubrana. Ale Jacek się uparł. Umówiliśmy się, że idziemy tam na bardzo krótko. Nie było wolnych stolików, więc stanęliśmy przy barze. Był tłok. Wreszcie zwolniły się dwa stołki barowe i wówczas Jacek przysiadł się do baru na dłużej. Wypił dwa kieliszki koniaku. Ja wypiałam nieco więcej. Lubię czasami wypić. Wie pan, jak to jest... W pracowniach chemicznych czasami pije się. Była chyba godzina druga w nocy, gdy wyszliśmy z lokalu. Jacek zamiast zawrócić na Krakowskie Przedmieście, postanowił pojechać trasą biegnącą nad Wisłą. Było pusto. Oparłam głowę o krawędź fotela i chyba drzemałam. Nagle wóz zaczął tańczyć po jezdni i gwałtownie hamować. Nie wiedziałam, co się stało. Przestraszyłam się...

— Pani prowadzi samochód? — przerwał jej Smolak.

— Tak. Oczywiście.

— I na pewno inżynier Werenda prowadził wóz, a nie pani?

— Nie rozumiem? Pan podejrzewa, że to ja spowodowałam ten wypadek? Gdyby tak było, nie kryłabym tego. Mam prawo jazdy.

— Przepraszam. Proszę mówić dalej.

— Więc, jak powiedziałam, wóz zaczął jakoś dziwnie tańczyć po jezdni. Wpadł w poślizg. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżywałam. Trzymałam się kurczowo fotela. Później samochód w coś uderzył.

— W co?

— Nie widziałam, w co. Następnie ude-

rzył po raz drugi. To wszystko trwało bardzo krótko. Może sekundy. Odruchowo zasłoniłam twarz rękami. Wiedziałam już, że wypadek. Ale nie przypuszczałam... Nie widziałam tego człowieka...

Przerwała w pół zdania. Znow sięgnęła po papierosy. Ale już po chwili mówiła dalej:

— Jacek wyskoczył z samochodu. Usłyszałam, jak krzyknął: „Jezus Maria! Co ja zrobiłem!” Wysiadłam z wozu. Jakiś mężczyzna leżał na jezdni. Jacek podniósł się z klęczek. Był okropnie przerażony. Powtarzał coś takiego: „No, jak umrze, to koniec! Wszystko przypadło. Zniszczą nas. Nareszcie będą mieli okazję”. I tak w kółko. Staralam się go uspokoić, ale on histeryzował. Później zaczął krzyczeć na mnie. „Uciekaj! Nie było cię tutaj! Nie widzieliśmy się. Zawiadom Zielińskiego. Jak go będą pytali, niech powie, że byłem u niego. Sam! Do godziny 1.45. I wypięm tylko dwa kieliszki koniaku. Pamiętaj! Byłem sam!” I to już wszystko. Nie chciałam go zostawić samego, ale patrzył na mnie z taką złością, że wreszcie poszłam. Resztę pan wie.

Smolak długo nad czymś rozmyślał, zanim zadał następne pytanie.

— Proszę pani. Wcześniej czy później dowiemy się prawdy. Czy byliście w samochodzie tylko we dwoje? Nikogo trzeciego z wami nie było?

— Oczywiście. O czym pan mówi? Co to za nowa historia?

— Sprawdzimy pani zeznanie — Smolak znow uchylił się od odpowiedzi. — Może wreszcie inżynier Werenda będzie miał naprawdę alibi?

— O jakim alibi pan mówi? — Joanna Wikler była coraz bardziej przerażona.

— Widzi pani, zatrzymaliśmy inżyniera Werendę nie dlatego, że spowodował wypadek drogowy. Niedaleko miejsca wypadku znaleźliśmy zwłoki młodej kobiety. I wszystkie poszlaki wskazują, że...

— To niemożliwe! — wyszeptała przerażona. — Pan na pewno się myli! To jakiś bezsens. Może tragiczny zbieg okoliczności?! Przecież pan nie wierzy, że zabiłmy jakąś kobietę? Kiedy? Dlaczego?

— Od tygodnia staram się to właśnie



wyjaśnić. Ale przeszkadzacie mi w sposób bardzo umiejętny. Zdaje sobie pani sprawę, co oznacza tworzenie fałszywego alibi? Będzie pani musiała jeszcze raz wszystko dokładnie powtórzyć. Muszę panią teraz formalnie przesłuchać. I proszę pamiętać: za fałszywe zeznanie grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności.

Było już bardzo późno, gdy zakończył przesłuchanie. Po wyjściu Joanny Wikler raz jeszcze zaczął czytać zebrane w czasie dochodzenia materiały. Znał je niemal na pamięć, mimo to, w świetle nowych zeznań, cała sprawa zaczęła przedstawiać się zupełnie inaczej.

A jeśli przyszła specjalnie po to, by stworzyć Werendzie nowe alibi? — przemknęło mu przez myśl. — Byłaby aż tak doskonałą aktorką? I tak odważną?

Wyjął z szafy magnetofon. Założył szpulę z taśmą, na której utrwalił wypowiedzi Tereckiego w czasie przesłuchania w szpitalu. Wyłączył głośnik, wygodniej było przesłuchiwać taśmę za pomocą słuchawek. Wielokrotnie zatrzymywał ją, cofał, znów wsłuchiwał się w każde słowo. I nagle zrozumiał, że chaotyczne wypowiedzi ranego Tereckiego, jeśli połączy się ich niektóre fragmenty, nabierają zupełnie innej treści.

Sięgnął po blok i długopis. Zaczął zestawiać tekst.

„... Byłem... gdzieś, gdzie grała... orkiestra... byłem... w barze. Siedziałem przy barze... pojechałem do domu. Bo gdzie mógłbym pojechać? Chyba byłem sam. Wiem, że później jechałem w dół, jakąś krętą drogą. Była jakaś kobieta. Ale czy wychodziła ze mną?... Myślę o tym bez przerwy. Nie wiem, co się stało. Głowa zaczęła mnie boleć. Bardzo boleć...”

Raz jeszcze przeczytał zestawiony tekst. Później znów sięgnął po zeznania Joanny Wikler. I wówczas przypomniała mu się pewna sprawa, którą milicja prowadziła przed kilku laty.

— To przecież nie ma żadnego związku — powiedział półgłosem. — A jednak mogłoby się zgadzać. Wówczas także uważano za niemożliwe...

Wstał, przeciągnął się. Spojrzał na zegarek.

— Na dziś wystarczy — zdecydował. — Jutro także jest dzień.

---

## VIII

---

Pogrzeb Lilki — Alicji Kowalskiej, był bardzo skromny. Na cmentarzu zjawiała się tylko najbliższa rodzina i niewielka garstka znajomych. Rodzice zmarłej nie dali nekrologów do gazet. Pragnęli uniknąć krępujących ich pytań.

Smolak stał na uboczu, starając się nie rzucić nikomu w oczy.

Znów niewypał — pomyślał. — Może jednak miał rację Janikowski, gdy proponował opublikowanie fotografii Lilki w gazetach i telewizji? Może zgłosiliby się wówczas ci, którzy coś wiedzą o jej życiu? Ale niewątpliwie jest to broń obosieczna.

Bez przekonania i raczej z obowiązku zwrócił się do stojącej obok niego barmanki ze Starego Miasta, którą specjalnie przywiózł swoim samochodem na cmentarz.

— Poznaje pani kogoś?

— Tylko tę wysoką blondynkę — odpowiedziała. — A i to nie jestem pewna. Raczej jednak bywała u nas w lokalu. Ona ma takie charakterystyczne włosy. Jasne i proste jak słoma. Ale to jednak dziwne...

— Co panią dziwi? — zainteresował się Smolak.

— Nie widzę tu młodych mężczyzn. Przecież niemożliwe, aby taka dziewczyna nie miała nikogo?...

— Może znajomi nie wiedzą, że zmarła i że dzisiaj jej pogrzeb? Nie było nekrologów.

— Nie, to nie to. Takie wiadomości rozchodzą się szybko. Wystarczy, aby jedna koleżanka dowiedziała się o jej śmierci...

— Toteż przyszło kilku młodych ludzi. Niech pani przyjrzy się im uważnie.

— Barmanka wzruszyła ramionami.

— Pan mnie nie rozumie, kapitanie. Ja tych młodych nie znam. Nie widziałam ich w jej towarzystwie. Nie chodzi więc o tych, którzy przyszli, ale o tych, którzy nie przyszli. Nie widzę ani jednej znajomej twarzy, a przecież nie przychodziła sama do naszego lokalu.

Smolak spojrział na barmankę z uznaniem.

Rzeczywiście! Czyżby ktoś obawiał się spotkania z rodzicami zmarłej?

— Pani zna życie. Nocny lokal to dobra szkoła.

— Zza bufetu niejedno się widzi. I niejednego. Wielu rzeczy nie chce się widzieć. Bo po co?

Smolak dyskretnie skinął na jednego z wywiadowców pionu kryminalnego, oddelegowanego dla wspólnego prowadzenia tej sprawy, wzrokiem i ruchem głowy wskazując mu dziewczynę o słomianych włosach. Ten równie nieznacznym skinieniem głowy potwierdził, że rozumie zadanie.

Uroczystości żałobne powoli dobiegały końca. Zgromadzeni przy grobie Lilki zaczęli żegnać się z jej rodzicami i zmierzać ku wyjściu z cmentarza.

Przy mogile pozostali tylko rodzice...

Obserwacja, którą na polecenie Smolaka podjęli dwaj wywiadowcy, „Heniek” i „Rysiek”, nie nastęczała początkowo trudności. Podążając w pewnym oddaleniu za wysoką blondynką, obaj doszli do przystanku. Wraz z obserwowaną przejechali tramwajem przez Pragę, Most Gdynski, ulicę Nowotki, a następnie plac Dzierżyńskiego.

Przy skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej dziewczyna nagle zaczęła energicznie przeciskać się ku wyjściu.

Niemal w ostatniej chwili wywiadowcom udało się wydostać z zatłoczonego tramwaju.

Zmieniając się ruszyli, w ślad za nią, w kierunku ulicy Próżnej.

Obserwowana dziewczyna weszła nagle

do jednej ze starych czynszowych kamienic o odpadających tynkach. Zaskoczyła ich. Tak się jakoś niefortunnie złożyło, że zdołała obu wyprzedzić. Wejść bezpośrednio za nią na klatkę schodową — posunięcie zbyt ryzykowne. Czekać na ulicy? Jak długo? Jeśli mieszka w tym właśnie domu, mogłoby się zdarzyć, że pokaże się na ulicy dopiero dnia następnego.

Wymienili ze sobą umowne znaki.

Rysiek oddalił się nieco od bramy, idąc w kierunku placu Grzybowskiego, Heniek stanął po przeciwległej stronie ulicy, obserwując dyskretnie kamienicę, do której weszła dziewczyna. Może ukaże się w oknie? Postanowili poczekać. Dysponowali łącznością radiową i mogli w każdej chwili przekazywać sobie zadania oraz dzielić się informacjami.

Po kilku minutach „blondynka” — jak ją umownie nazwali, znów zjawiła się w bramie.

Nie zastała nikogo w mieszkaniu albo zostawiła jedynie wiadomość — pomyślał Heniek i jako kierujący obserwacją, dał sygnał Ryskowi, by ten podążył za dziewczyną. Sam po chwili wszedł do interesującego go domu.

Kamienica miała dwie klatki schodowe. Nie namyślając się wszedł do pierwszej i piętro po piętrze rozpoczął dyskretnie oględziny drzwi wejściowych. Na czwartym piętrze dostrzegł w zamku jednego z mieszkań zwiniętą w rulonik kartkę. Ostrożnie ją wyjął. Przeczytał krótki list, nie pozostawiający wątpliwości, kto i kiedy go pisał.

*Wiktor! Skontaktuj się ze mną. Dlaczego nie byłeś na pogrzebie Lilki? Z.*

Zbiegł ze schodów i zatrzymał się przed spisem lokatorów. Pod tym numerem mieszkania figurowało nazwisko: Jan Fronczek.

Kim był „Wiktor”? Synem głównego lokatora? Sublokatorem?

Mógł oczywiście zasięgnąć informacji u gospodarza domu. Z doświadczenia wiedział jednak, że nie jest to metoda zapewniająca dyskrecję.

Raz jeszcze wszedł na czwarte piętro. Zapukał do sąsiedniego mieszkania.

— Przepraszam — powiedział, gdy star-

sza kobieta otworzyła drzwi. — Już drugi raz przychodzę, dzwonię do sąsiada, ale nikt nie otwiera. Czy pan Fronczek wprowadził się?

— Pan Fronczek wyjechał pół roku temu za granicę. To i nie ma po co przychodzić!

Heniek udał zdziwienie.

— Przepraszam za natarczywość. Ale to sprawa dla mnie niezmiernie ważna. Muszę się jakoś z nim skontaktować. W jego własnym interesie. Nie orientuje się pani, dokąd wyjechał i kiedy wróci?

— To nie moja sprawa — odpowiedziała opryskliwie. — W mieszkaniu Fronczka mieszka taki jeden, któremu zostawił klucze. Niech go pan zapyta. Ja go nie znam i znać nie chcę!

Jeszcze tego samego dnia Heniek spotkał się z dzielnicowym.

— Widziałem go kilka razy. Zameldował się oficjalnie w mieszkaniu Fronczka. To jakiś jego krewny. Fronczek, wyjeżdżając za granicę z polską firmą budowlaną, przekazał mu „pod opiekę” swoje mieszkanie. W rzeczywistości wynajął na pewno za grube pieniądze. Wszyscy tak robią.

— Gdzie ten Wiktor pracuje? Z czego żyje?

Dzielnicowy wzruszył ramionami.

— To jest pytanie. Przez pewien czas udawał ważnego. Przez Redaktora” telewizji. Okazało się, że w telewizji pracował kilka miesięcy jako pracownik fizyczny i szybko go stamtąd zwolnili. Nie przychodził do pracy, skreślono go z listy zgodnie z przepisami o dyscyplinie. Kiedyś mówił mi dozorca domu, że rodzice dają mu pieniądze. Mają jakieś ogrodnictwo pod Warszawą. Zdaje się, że handlował też bonami PeKaO. Myślałem, że to zwyczajny „konik”, ale chyba nie. Ostatnio coś kręci w samochodach. Tak mi się w każdym razie wydaje.

— Wszystko to jakieś niekonkretne — skrzywił się Heniek. — Gdzieś, wydaje się, myślałem... Dużo to o nim nie wiecie!

— A czy to moja wina? — zdenerwował się dzielnicowy. — Zamęczają nas dochodzeniami w sprawach o drobne kradzieże. Jak w jakimś biurze czy urzędzie oś zgi-

nie, to szukaj im złodzieja. Sami niczego nie pilnują. Wiecie, ile tego jest w Śródmieściu? Gdybym miał czas, zająłbym się tym typkiem. A tak, co mogę mu zrobić? Pokażcie mi taki przepis, który pozwala dobrać się do skóry nierobowi! Co mogę mu udowodnić? Że nie pracuje? Mało takich?

Heniek zrozumiał, że niepotrzebnie naskoczył na dzielnicowego, który przecież powiedział mu nie tak znów mało.

— Widzieliście kiedy tę dziewczynę? — Wyjął z portfela fotografię Alicji Kowalskiej.

Dzielnicowy zaczerwienił się.

— Dostałem już taką fotografię z Komendy Dzielnicowej. Pytałem dozorców. Ale wiecie, jak to jest. Bramy nocą otwarte, domów nikt nie pilnuje, pan dozorca ledwo raczy klatkę schodową posprzątać. Co dzieje się w domu, nie ma pojęcia.

— No cóż, trudno. Sami sprawdzimy. Sporządźcie notatkę i opiszcie wszystko, co wiecie o tym Wiktorze. Jak on się nazywa?

— Smalec. Wiktor Smalec. Ma dwadzieścia dwa lata. Krępy, silny, lekko rudawe włosy. Taki bardziej nowoczesny z wyglądu. Zająć się nim?

— Mieście go tylko na oku. I nie płoszczcie. Gdybyście dowiedzieli się o nim czegoś więcej, dajcie mi znać. Po notatkę zgłoszę się jutro.

Nie powiodło się natomiast wywiadowcy Ryśkowi, który samotnie kontynuował obserwację dziewczyny „o słomianych włosach”. W południe, na Marszałkowskiej, roi się od przechodniów. Szedł za nią w „odpowiedniej” odległości, lecz mimo to przy domu handlowym „Sawa” nagle znikła mu z oczu. Rozdzielił ich na chwilę tłum pieszych i to wystarczyło.

Szukał jej długo i z uporem. W domach towarowych, w pasażu, później w okolicach Rotundy i na przystankach komunikacji miejskiej.

Po dwóch godzinach powrócił zmartwiony do komendy.

Jeszcze tego wieczoru w WKRD odbyła się krótka robocza narada. Smolak, po

wysłuchaniu relacji obu wywiadowców, pomyślał, że nareszcie wyrwał się z zamkniętego kręgu „trzech osób”: Werenda — Kowalska — Terecki. Do wykazu zamieszanych w sprawę dopisał bez wahania Wiktora Smalca i „blondynkę” o nie ustalonym nazwisku. Szczególnie interesującą rysowała się osoba Wiktora Smalca.

— Twierdzisz — zwrócił się do Heńka — że ta sąsiadka zdecydowanie nie lubi Smalca?

— Takie odniosłem wrażenie. Pewno to nie jest spokojny sąsiad.

— No to muszę ją koniecznie odwiedzić. Starsze panie są doskonałymi obserwatorami, tylko niektórzy nasi koledzy nie umieją z nimi rozmawiać. Są za bardzo urzędowi.

Gdy następnego dnia zapukał do drzwi sąsiadki Smalca, starsza pani przyjęła go niezbyt przychylnie. Dopiero po kilkunastominutowym okresie „chłodnej rezerwy”, jej nieufność zaczęła powoli ustępować. Jasny, dobrze skrojony garnitur Smalaka, starannie dobrany krawat, nienaganne maniery, lekko śiwiejące włosy na skroniach i kurtuazja zrobiły na niej duże wrażenie. Po upływie pół godziny — rozmawiali ze sobą przy herbacie jak „starczy znajomi”, po godzinie — Smolak wiedział już wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

Starsza pani widziała Alicję Kowalską kilkakrotnie. O pomyłce nie mogło być mowy. Przypuszcza, że przez pewien czas Kowalska mieszkała u Smalca. Ostatnio jednak nie widuje jej. Prawdopodobnie „rzucił ją dla innej”.

Smolak uśmiechnął się. „Rzucił ją dla innej” — zabrzmiało jak w przedwojennym melodramacie. Mimo to słuchał bardzo uważnie.

Przez mieszkanie Smalca przewinęło się wiele dziewczyn. „Pan redaktor” — tak jej się kiedyś przedstawił — nie należał do „ludzi stałych”. Tak go właśnie określili i Smolak znów ledwo zdołał ukryć uśmiech.

Od pewnego czasu naprzeciwko panuje jednak cisza. Zwróciła nawet na to uwagę. Chyba wyjechał. Mieszkanie jest stale zamknięte. Kiedy wyjechał? Tego nie po-

trafi powiedzieć. Tydzień temu, a może wcześniej?

— Tydzień temu — powtórzył Smolak. — To by się nawet zgadzało...

Gdzie pracuje? Starsza pani spojrzała na Smolaka zdziwiona. Jest przecież „redaktorem”! To — w jej mniemaniu — wyjaśniało wszystko.

Przyznaje — nie lubi go. Drażni ją jego styl życia. Może ma staroświeckie poglądy, może to prawda, że jest nietolerancyjna, ale... Rozmawiała z nim dwa lub trzy razy. Zdenerwowała się. Chodziło o jakieś drobnostki. Najbardziej drażni ją jego cynizm, jawnie wyzywająco-pogardliwy stosunek do wszelkich zasad moralnych. To aż się rzuca w oczy...

Smolak słuchał z coraz większą uwagą. Postać Smalca rysowała się bardzo wyraźnie.

Pijaństwo, awantury w jego mieszkaniu? Nie. Pod tym względem nie ma mu nic do zarzucenia... Tylko „różni” i „dziwni” ludzie przychodzą do niego. Czasem nawet w nocy.

Podziękował za informacje.

Gdy wychodził, zerknął w stronę sąsiednich drzwi. Zwinięta w rulonik karteczka tkwiła nadal w otworze zamka. Wyjął ją, raz jeszcze przeczytał i po namyśle schował do notesu.

W samochodzie, w którym czekał na niego Heniek, zarządził:

— Jeszcze dzisiaj bierzecie pod stałą obserwację mieszkanie Wiktora Smalca. Postarajcie się także o jego fotografię. Z tym nie powinno być większych trudności. I chcę o nim wiedzieć wszystko. Przeszłość, karalność, z czego żyje, co robi, gdzie bywa. To nie będzie łatwe. Od tygodnia nie ma go w domu. Ale przecież kiedyś wróci. I nie spłoszcie go! On może mieć na sumieniu zupełnie inne sprawy, o których nie mamy pojęcia. Dziwna postać — powtórzył w zamyśleniu. — Mówiłeś o jakimś businessie samochodowym?

— To nie ja mówiłem. Dzielnicy tak przypuszcza.

— Wszystko jedno. Jeśli to prawda, trzeba się tym zainteresować. Business samochodowy to wielki business. Roi się

w nim od różnego rodzaju kombinatorów. Masz kontakty w tym środowisku?

— Znajdą się.

— No to dobrze. Ja wezmę się za Teckiego.

— A co z Werendą? — zapytał Heniek, który był wprowadzony przez Smolaka w całość dochodzenia.

— Nic. Powrócimy jeszcze do niego. Ale na moje oko, nie on jest główną postacią tego dramatu.

Obserwację domu, w którym mieszkał Wiktor Smalec, wywiadowcy podjęli we wtorek po południu. Minęły jednak trzy dni, a rezultatów nie było. Smalec ani razu nie pokazał się na ulicy Próznej. Nie było go również u rodziców, zamieszkałych pod Warszawą.

Zmęczeni wywiadowcy klęli w duchu upartego Smolaka. Gdy miano już zdecydować o zdjęciu obserwacji i zrezygnować z nie dającego rezultatów przedsięwzięcia — Wiktor Smalec zjawił się nagle, późnym wieczorem, w sobotę. Przyjechał takśówką, miał niewielki bagaż osobisty, był opalony i sprawiał wrażenie powracającego z urlopu.

O przyjeździe Smalca powiadomiono niezwłocznie Smolaka. Zalecił nie przerywać obserwacji, zastrzegając sobie podjęcie dalszych decyzji dopiero w poniedziałek.

Heniek, który rozmawiał telefonicznie ze Smolakiem, po otrzymaniu instrukcji w dosadnych słowach wyraził, gdzie ma „taką robotę”. Ale był na tyle przezorny, że wypowiedział je dopiero wówczas, gdy Smolak odłożył słuchawkę.

Kapitan dobrze wiedział, czego życzą mu wywiadowcy. I wcale się tym nie przejmował. Dochodzenie nabrało bowiem rozmachu, a w niedzielę planował przeprowadzenie pewnego eksperymentu, z którym wiązał największe nadzieje.

---

## IX

---

Postronnemu obserwatorowi sposób, w jaki Smolak prowadził dochodzenie, mógł-

by wydać się chaotyczny. W rzeczywistości realizował je według przemyślanego programu.

W pierwszej fazie usilnie poszukiwał faktów pozwalających na zbudowanie prawdopodobnej i logicznej wersji tłumaczącej wypadki na Wybrzeżu Gdyńskim. Takich wersji stworzył kilka, lecz każda budziła w nim zastrzeżenia. Wiedział, że gdzieś tkwi błąd. Wyczuwał go raczej, niż dostrzegał. Może właśnie dlatego nie był w stanie go wykryć.

Teraz wreszcie swoim działaniem mógł nadać charakter sprawdzający. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu czuł, że „wychodzi na prostą”.

Ale w toku dochodzenia, nawet w jego drugiej fazie, klasyczne rozumowanie redukcyjne musi być stale uzupełniane w stosunku do poszczególnych kwestii i fragmentów zdarzenia — rozumowaniem dedukcyjnym. Czynności sprawdzające muszą być przeplatane raz po raz czynnościami ustalającymi, te zaś z kolei muszą ujawniać coraz to nowe, dotąd nie znane szczegóły.

Stara to prawda i dlatego, choć ponagli go przełożeni, wiedział, że nie może się spieszyć. Starał się pracować spokojnie, jednak często ogarniały go wątpliwości, czy zdoła uzasadnić tezę, w którą wreszcie głęboko uwierzył. Nadal bowiem brakowało dowodów.

W tych samych dniach, w których wywiadowcy pionu kryminalnego obserwowali bezskutecznie dom przy ulicy Próznej, Smolak raz jeszcze przesłuchał Werendę, Joannę Wikler i inżyniera Zielińskiego, dokonując jednocześnie szczegółowej analizy porównawczej ich zeznań.

Nie znalazł luki.

Werenda przywieziony na przesłuchanie, robił przygnębiające wrażenie. Przygasał, był apatyczny i małomówny. Przyznał wreszcie, że widział Lilkę w hallu restauracji „Bristol”, ściślej mówiąc — w szatni od strony ulicy Karowej. Widział ją i zapamiętał!

— Dlaczego? — Smolak wielokrotnie zadawał mu to samo pytanie. — Przecież w każdym nocnym lokalu można spotkać wiele przystojnych kobiet? Dlaczego właś-

nie ją pan tak dobrze zapamiętał, jeśli prawdą jest, że jej pan nigdy przedtem nie widział?

Ale na to pytanie Werenda nie potrafił lub nie chciał udzielić odpowiedzi.

Wreszcie Smolak przestał nastawać, aby wyjaśnił ten szczegół.

Może po prostu „wpadła mu w oko”? — skwitował w myślach ten fragment zdarzenia. — Ważne, że Lilka owej nocy była w tym samym lokalu.

Z kolei raz jeszcze przesłuchał barmankę młodzieżowego lokalu ze Starego Miasta. Spośród kilkunastu specjalnie dobranych fotografii, po chwilowym namyśle, wskazała bezbłędnie fotografię Wiktora Smalca jako tego, który „często towarzyszył Lilce”.

— Mówiłam panu, że nie widziałam go na pogrzebie. Gdyby był, rozpoznałabym go!

— Nie mógł być. Przebywał w tym czasie poza Warszawą.

Wzruszyła ramionami. Smolak zrozumiał ten ruch. Miała dość indagacji oraz zbyt częstych wizyt milicji.

„Potwierdzenie zażyłej znajomości Lilki ze Smalcem — odnotował w aktach. — Razem chodzili do lokali. Ustalić, gdzie był i co robił w dniu jej śmierci. Dlaczego w «Bristolu» nie byli razem?”

Wreszcie ponownie skoncentrował swoją uwagę na osobie Tereckiego.

Przeprowadzone wywiady niczego jednak do sprawy nie wniosły. Zamożny. Coś tam kręcił z Wydziałem Finansowym, by ukryć faktyczne dochody i uniknąć domiaru, lubi wypić, bywalec różnych lokali nocnych.

O tym wszystkim wiedziano już wcześniej. Tylko sam Terecki mógłby swoimi wyjaśnieniami pchnąć dochodzenie do przodu. Mógłby... gdyby sobie coś więcej przypomniał.

Smolak codziennie telefonował do Szpitala Praskiego, dowiadując się o stan zdrowia chorego. I właśnie w sobotę, tego samego dnia, w którym wywiadowcy zameldowali o powrocie Wiktora Smalca — doktor Feliński zdecydował:

— Jeśli nie możesz dłużej czekać, spró-

bujemy przeprowadzić ten eksperyment. Chciałbym jednak być przy tym obecny ze względu na możliwość wystąpienia jakichś nieprzewidzianych zaburzeń. Z chorym mówiłem. Zgadza się! Ale jednocześnie jest bardzo zdenerwowany.

Ponieważ ten sobotni wieczór obaj mieli już zajęty, uzgodnili, że milicyjna Wołga przyjedzie pod szpital w niedzielę około pierwszej w nocy. Mniej więcej o tej samej porze, o której rozgrywały się wydarzenia prowadzące do tragicznej śmierci Alicji Kowalskiej.

Janikowski, któremu Smolak wspominał o swoich planach, wprosił się do towarzystwa i jak zawsze nie mógł obejść się bez pytań.

— Myślisz, że to coś da? Przecież on po tym urazie głowy nic nie pamięta!

— Nigdy tak nie twierdziłem — sprostował Smolak. — Mówiłem tylko, że wystąpiła u niego ograniczona w czasie luka pamięciowa. Nie ma takiego świadka, który by niczego nę zapamiętał. Oczywiście teoretycznie. W praktyce natomiast do tego, co on zapamiętał, możemy nie umieć dotrzeć. Ale nie wolno z góry rezygnować i zaprzepaszczać okazji.

— Minęły jednak już dwa tygodnie! — nie ustępował Janikowski. — Jeśli do tej pory niczego nie mógł sobie przypomnieć, to teraz szansa jest o wiele mniejsza.

— Czas sam przez się nie jest powodem zapomnienia. Procesy zapominania objaśnia się raczej szeregiem zmian chemicznych i fizycznych. Wymagają one czasu, ale nie przesadzają o prostym następstwie samego czasu. Dlatego późniejsze przesłuchanie nie musi być mniej skuteczne niż wcześniejsze. Odpowiedź „nie pamiętam” może być spowodowana brakiem umiejętnego i dostatecznego „rozgrzania świadka”. Jeśli uda nam się wytworzyć w świadomości Tereckiego właściwe nastawienie, możliwość przypomnienia sobie zwiększy się wielokrotnie. I o to właśnie chodzi. Spróbujemy aktywnie dopomóc Tereckiemu. On już powiedział wiele! Trzeba to tylko właściwie odczytać.

Janikowski nie wytrzymał i zapytał wprost:

— Czy ty rzeczywiście wiesz, jak to wtedy było, czy tylko nadrabiasz miną?

Smolak uśmiechnął się.

— Domyślam się — odpowiedział ostrożnie. — Ale swoich domysłów nie jestem w stanie udowodnić. Moja hipoteza jest karkołomna. Nawet nie chcę o niej wspominać. Liczę jednak, że Terecki mi dopomoże. I dlatego chcę dopomóc jego pamięci poprzez „przywołanie obrazu”, posługując się otoczeniem, w którym nastąpiły interesujące nas wydarzenia.

Terecki czuł się na tyle dobrze, że sam i bez większego wysiłku zszedł z oddziału na podjazd. Był podniecony i zdenerwowany. Na pytanie doktora Felińskiego, czy aby tej „przejażdżki w przeszłość” nie wolałby odłożyć, odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Wyczuwało się, że chce to już mieć za sobą.

Smolak usadowił go na tylnym siedzeniu Wołgi, tuż za sobą. Obok Tereckiego usiadł dr Feliński, Janikowski zajął miejsce obok Smolaka.

— Jedź powoli i bardzo ostrożnie — upomniął lekarz Smolaka. — Możliwie jak najmniej wstrząsów i ostrych zakrętów. A my — zwrócił się do Tereckiego — pogawędzimy sobie o byle czym. Niech pan spróbuje na pewien czas wyłączyć się i przestać myśleć o tamtym zdarzeniu.

Terecki uśmiechnął się z przymusem.

— Łatwo powiedzieć, doktorze. Ja o niczym innym nie mogę myśleć, tylko o tej przeklętej sprawie. Licho mnie skusiło, żeby wtedy wstąpić do baru.

— Bar dla ludzi, panie Terecki. Ja także czasem do niego zaglądam. I dobrze się bawię. Szkoda, że w Warszawie mamy tak mało nocnych barów.

— Włącz magnetofon! — szepnął Smolak do Janikowskiego.

— Powiedźcie mi wreszcie, co się tamtej nocy zdarzyło? — zapytał już spokojniejszym głosem Terecki.

— To jest takie błędne koło — z udaną wesołością odparł Feliński. — Pan chce się dowiedzieć tego samego od kapitana, czego kapitan chce się dowiedzieć od pana. Dajmy więc pierwszeństwo kapitanowi. On tu władza.

Tymczasem Wołga płynnie minęła most

Śląsko-Dąbrowski, przeleciała przez tunel, zakręciła z lekkim piskiem opon w ulicę Kapucyńską i wjechała w Miodową. Terecki z napięciem wpatrywał się w przednią szybę.

— Tędy jechałem — odezwał się nagle. — Jadłem przecież kolację z kolegami u „Rzemieślników”...

Smolak niczym nie dał po sobie poznać, jak wielka zaczęła ogarniać go radość. A więc jednak!

Odruchowo spojrzął na zegar. Była pierwsza piętnaście. Ruch kołowy niewielki. Lekka mgła. Jak tamtej nocy — pomyślał.

— O której godzinie jadł pan kolację u „Rzemieślników”? — zapytał.

— Mogła być dziewiąta lub nieco wcześniej.

— A później?

— Gdzieś jeszcze pojechałem. Do jakiegoś baru. Widocznie nosiło mnie tego dnia...

— Sam pan jechał?

— Chyba sam.

— Panie Terecki — wtrącił się lekarz. — Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że to pan prowadzi teraz samochód. Proszę patrzeć w przednią szybę oraz na boki. Po kolacji u „Rzemieślników” jechał pan tą trasą? Wjeżdżamy na Krakowskie Przedmieście. Pomnik Mickiewicza, w dali światła hotelu „Bristol”. Co panu przypomina to otoczenie?

Smolak celowo zmniejszył szybkość.

— Niech pan skręci w lewo — nagle zadysponował Terecki. — I pojedzie w dół. O tak właśnie!

— Tu zatrzymać? Przed restauracją?

Terecki przecząco pokręcił głową.

— Nie. Trochę dalej! — dodał, coś sobie widocznie przypominając. — Przy łuku! Właśnie tam, gdzie jest wolne miejsce!

Smolak zręcznie zaparkował Wołgę i sięgnął do kieszeni po „giewonty”.

— Zapalił pan?

Terecki bez słowa wziął papierosa. Janikowski podał mu ognia. W kabinie samochodu zaległa kompletna cisza.

— Chyba tutaj zostawiłem swój wóz — zaczął Terecki powoli, po dłuższym na-

myśle. — Zapaliłem papierosa, tylko teraz nie pamiętam, czy paliłem w wozie, kiedy przyjechałem, czy kiedy odjeżdżałem. Byłem chyba w tej restauracji. Tutaj jest nocny bar. Nieczęsto tu przyjeżdżam...

— Sam pan tu był czy z jakąś kobietą? Terecki bezradnie rozłożył ręce.

— Przyjechałem sam. Ale później? Wie pan, jak to jest. Przy barze siedziałem z jakąś kobietą. Tam był taki tłok... Ale odjeżdżałem chyba sam. Chciałem pojechać do domu. Miałem dość. Co tu ukrywać, za dużo wypilem. Ja nie jestem święty, ale nie podrywałem w lokalach. Boję się. Chyba pojechałem w dół, bo nad Wisłą, wie pan, mniej drogowych patroli. Zawsze tamtędy jadę, jak sobie wypiję.

Smolak nacisnął starter. Wołga ruszyła w dół wiaduktem Markiewicza.

— Tak właśnie jechałem — znów odezwał się Terecki. — Na skrzyżowaniu zatrzymałem się... Zaraz... Tak! Oczywiście! Zgasł mi papieros! Szukałem po kieszeniach zapalek i... To niemożliwe! — dodał szeptem, patrząc w lusterko, znajdujące się nad kierowcą. — To niemożliwe...

— Co takiego, panie Terecki? — zapytał łagodnie doktor Feliński. — Co się w tym miejscu stało?

Terecki jednak nadal wpatrywał się w ten jeden punkt.

— To niemożliwe! — powtórzył po raz trzeci. — W lusterku zobaczyłem nagle jakąś twarz... Tak jak teraz...

— I co dalej? — włączył się podniecony Smolak.

— Nie pamiętam... Nic więcej nie pamiętam. Głowa zaczęła mnie boleć. Bardzo boleć...

Smolak spojrzął porozumiewawczo na Felińskiego. Zrozumieli się bez słów.

— Wracamy do szpitala? — zapytał Feliński. — Wiesz już wszystko, co chciałeś wiedzieć?

Smolak skinął głową.

— Nie pojedziemy na miejsce wypadku? — zapytał zdziwiony Janikowski. — Teraz chcecie wracać do szpitala, gdy pan Terecki tyle sobie przypomina?

— Nie ma potrzeby jechać dalej. Od

tego miejsca nie może już niczego pamiętać.

— Więc to się tutaj stało? — Terecki położył dłoń na ramieniu Smolaka. — W tym miejscu miałem wypadek? A żona mówiła, że rozbiłem się gdzieś na Wybrzeżu Gdynińskim, w jakiejś bocznej uliczce.

— Pan przeżył trzy kolejne wypadki — powiedział powoli Smolak. — I miał pan niebywale szczęście. Na tym polega właśnie niecodziennosc tej sprawy. To zresztą nie były zwykłe wypadki, a w każdym razie nie wszystkie tak bym nazwał. Ale to już minęło i nie ma czym się przejmować — dodał uspokajająco. — Spisał się pan dziś na medal! Gdyby był pan zdrowy, postawiłbym panu duży koniak.

— O nie, panie kapitanie! To ja, jak tylko wyjdę ze szpitala, proszę panów na duży koniak.

Smolak uśmiechnął się powątpiewająco.

— Nie jestem tego taki pewny. Mimo wszystkich, pana przeżyć, za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym skieruję przeciwko panu sprawę do Kolegium Karno-Administracyjnego. I, powiem szczerze, nie będę żałował, jeśli wlepią panu parę tysięcy złotych grzywny.

— Nie licytujcie się, moi złoci. I nie straszcie — roześmiał się doktor Feliński. — Wracamy do szpitala. Dzisiaj ja wam stawiam koniak. Po kieliszku. Choremu, po takiej nocy, nie zaszkodzi. Ale kierowcy nie damy! Panie poruczniku — nachylił się do Janikowskiego — pan chyba jednak zastąpi kapitana za kierownicą?

---

## X

---

Czekanie wymaga nie tylko cierpliwości. Czekanie wymaga przewyciężania samego siebie.

Smolak znał to uczucie. Nie po raz



pierwszy czekał. I mimo to odczuwał zdenerwowanie.

Pozornie dochodzenie toczyło się względnie wartko. Trwała obserwacja Wiktora Smalca, przeprowadzano wywiady środowiskowe, ustalano kontakty niezyczącej Alicji Kowalskiej, biegli do spraw techniki samochodowej i ruchu drogowego kończyli formułowanie swoich opinii. W rzeczywistości — w sprawie kryptonim „Alibi” nastał czas oczekiwania. Na „decydującą informację” i na „właściwą chwilę”.

Z dnia na dzień zasób wiadomości o Wiktorze Smalcu powiększał się. Informacje o Smalcu zbierano metodami poufnyymi, oficjalnie natomiast — Smolak postarał się, by wiadomość ta dotarła do „kogo należy” — dochodzenie prowadzono przeciwko Krzysztofowi Tereckiemu i Jackowi Werendzie.

A jednak choć w sprawę zaangażowano wiele sił i środków, rezultatów nie było można przewidzieć. Smolak codziennie analizował dostarczane mu informacje. I stale dochodził do wniosku, że nadal brak dostatecznych przesłanek, by móc wszcząć przeciwko Smalcowi oficjalne dochodzenie.

Pamiętnej nocy z soboty na niedzielę w restauracji i nocnym barze hotelu „Bristol” Smalca nie było! Alicja Kowalska była tam sama! Wprawdzie krótko, ale na pewno sama! Co robił i gdzie przebywał wówczas Wiktor Smalec? Tego dotąd nie zdołano ustalić.

Natomiast dziewczynę o „słomianych włosach” odnaleziono bez trudu. Trzy dni po swoim powrocie, Smalec spotkał się z nią w kawiarni. Później razem poszli do niego do domu...

I to przesądziło o decyzji, że nie należy jej przesłuchiwać. Oczywiście — do czasu...

Sam Smalec, według oficjalnych informacji, był postacią mało ciekawą. Bez zawodu, o niepełnym średnim wykształceniu, jakoby pozostawał nadal na utrzymaniu rodziców. Rok temu wyprowadził się z rodzicielskiego domu, w żadnej pracy nie zagrzeł miejsca. Można by rzec — pół życia spędzał w kawiarniach, w to-

warzystwie podobnych młodych ludzi, którzy także dysponowali nieograniczoną ilością wolnego czasu. Sympatyczny, układny, towarzyski, kombinator małego formatu. Smolak wiedział jednak, jak złudne potrafią być takie opinie. Nie przerywał więc nie kończącej się obserwacji.

W czwartek rano, dziewiętnastego dnia dochodzenia, wywiadowca Heniek jak co dzień zgłosił się z kolejnym raportem.

— No i... — przywitał go Smolak, nie przerywając czytania akt dochodzeniowych w sprawie jakiegoś zderzenia tramwaju z wojskowym Starem.

Heniek skrzywił się.

— Znów to samo. Kręci się po mieście, spotyka różnych ludzi i przesiaduje po kawiarniach. Wczoraj był w trzech. Wymienić?

— Później. Opiszysz to przecież w raporcie. Co to za ludzie?

— Trudno powiedzieć. Nie możemy przecież za każdym chodzić, bo dostaniemy kręcka. No i naszych tyłu nie ma. Przed południem spotkał się z jakąś dziewczyną. Ładna. Gadali ponad dwie godziny o nieciekawych sprawach. Później dosiadło się do nich dwóch brodatych. Dalej spotkał się w kawiarni przy Wschodniej Ścianie z dwoma „konikami”, którzy handlują walutą i bonami dolarowymi PeKaO. „Konikarzy” znamy. Potem poszedł na obiad do barku w „Sesamie”.

Smolak oderwał wzrok od akt.

— Heniek! Przecież pracujemy razem nie od dzisiaj. Mów zwięźle i do rzeczy. Jest coś ciekawego w naszej sprawie? Ja bez twego opowiadania wiem, że nie próżnujecie. Od samej kawy i „coca-coli”, które wypijacie przy tej robocie, może człowieka zemdląć.

— Chyba tylko ten jego wyjazd za Warszawę.

— Jaki wyjazd?

— Po południu wziął taksówkę i pojechał w kierunku Legionowa. Do takiego jednego „podwórkowego warsztatu” samochodowego. Pojechaliśmy za nim. Stała tam zdezelowana Warszawa i jakaś Sy-

rena. Ale w szopie, tak mi się wydaje, są i inne pojazdy. „Taryfę” zwolnił.

— To już drugi warsztat samochodowy, który odwiedza w tym tygodniu. Co dalej?

— Nic. Został tam ponad godzinę. Potem wyszedł na szosę, przespacerował się do przystanku autobusowego. Po drodze zatrzymał się, wyjął z kieszeni kopertę, w której znajdowały się pieniądze, i przeliczył je. Dużo tego nie było. Zrobiliśmy mu pamiątkową fotografię.

— Mam nadzieję, że kiedy był w towarzystwie „koników”, również nie zapomnieliście o rodzinnym zdjęciu?

— Oczywiście. Nasz klient, nasz pan.

Smolak roześmiał się.

— No widzisz! Nie wolno spuszczać go z oka. Według oficjalnych informacji to taki grzeczny młody człowiek. Tylko leniwy. Pamiętaj, jak go spłoszycie, cała robota na nic.

— Nie ma obawy. Długo to jeszcze potrwa?

Smolak rozłożył ręce.

— Bo ja wiem. Też mam dość tej sprawy. Jeszcze kilka takich ustaleń i będzie wreszcie temat do rozmowy z naszym znajomym. Musi być przecież jakiś punkt zaczepienia. Myślę, że dzielnicowy miał jednak rację. Smalec rzeczywiście coś kręci w samochodowym interesie.

— Nic dziwnego. To teraz dla niektórych cwaniaków złote jabłko. Można dobrze zarobić.

— Normalne. Na całym świecie business samochodowy to duży business. Nie przesadzajmy, że w Polsce jest najgorzej. W porównaniu do tego, co dzieje się w innych krajach...

Heniek podniósł ręce na znak kapitulacji.

— Wiem. Tylko ta sprawa zaczyna nas za dużo kosztować. Obserwacja trwa już dziewięć dni. Chłopcy są zmęczeni, a innych, wolnych, nie ma. I nie wiadomo, czy to się w końcu opłaci.

— Trudno. Gdybyś policzył, ile kosztuje dochodzenie o głupią kradzież, to byś się za głowę złapał. Ale przecież chodzi i o coś więcej, prawda? Lepiej ustal, czym zajmuje się ten „podwórko-

wy warsztatowiec”. Namnożyło się ich ostatnio. Byle jak pojazd wyklepać, zaszpachlować, zakitować i do ludzi. A jak się później ktoś zabije, to już nie ich sprawa. Na giełdzie samochodowej frajerów nie brak, choć ponoć przychodzą tam sami „fachowcy” i do tego z żonami. Za ukryte wady nikt nie odpowiada. Więc „wady” trzeba ukrywać.

— Ciekawe, skąd oni biorą części do niektórych gratów? Przecież do grata nie wstawi nowych? Nawet jak PZU wypłaci mu odszkodowanie.

— Ciekawe? — Smolak uśmiechnął się ironicznie. — No to się dowiedz!

Heniek wahał się chwilę, zanim powiedział:

— Zasięgnąłem nieco informacji. Mam znajomych w PZU, Motozbycie i w Cechu Rzemiosł Motoryzacyjnych. Oni pracują „w branży” i mają nie najgorsze rozeznanie. Opowiadali interesujące rzeczy. Przez długi czas grasowała pod PZU grupa „naganiaczy”. Zaczepiali klientów, oferowali im „warsztat cudo”, który może każde uszkodzenie naprawić i który ma wszystkie części. A do tego jest tani i szybki.

— To żadna nowość — mruknął Smolak. — W gazetach nawet o tym pisali. Głupców nie sieją, sami się rodzą!

— Właśnie. Pomyślałem, że może nasz Smalec jest z tej branży lub coś w tym guście. Ale nie. Oni tam, w PZU, znają naganiaczy i pośredników jak swoją kieszeń. Mogą ich palcami pokazywać. To zresztą nie ten typ.

— Co przez to rozumiesz?

— Wystarczy popatrzeć na takiego naganiacza. Smalec to nie pijacek czy jakiś tam wystający godzinami pod gmachem. To, na swój sposób, elegancki młody człowiek. I za duży nierób. A wiecie, że w PZU go znają?

— No...?

— Ponad rok temu miał bardzo starego Opla, którego kupił za psie pieniądze. I wówczas mieli z nim nie lada kłopoty. Co kilka miesięcy zgłaszał im nowe uszkodzenia tego starego grata, zawsze powstałe w kolizji „nie z jego winy”. Jak tylko zobaczył jakiegoś kierowcę frajera,

zaraz mu się podstawał. I do PZU po odszkodowanie. Pobrał tych odszkodowań więcej, niż samochód był wart w stanie nowym. To duży cwaniak! Grzeczny, stanowczy, a jednocześnie bezczelny i bezwzględny.

Smolak uśmiechnął się. Z sympatią spoglądał na młodego wywiadowcę.

— Sprytny jesteś! — powiedział z uznaniem. — Właśnie dlatego nie możesz go ani na chwilę spuścić z oka. On sam musi nam dostarczyć dowodów. Żaden warsztat dobrowolnie nie powie o swoich lewych interesach. A my musimy dowiedzieć się, co to za interesy i za co dają mu pieniądze.

Heniek potarł czoło, następnie przygłodził dłonią włosy.

— To muszą być jakieś stare rozliczenia Smalca. Przecież od dziewięciu dni chodzimy za nim dzień i noc. I nic!

— Stare albo i nowe. To może być także pożyczka czy powiedzmy *à conto*.

— Za co?

— Ba! To właśnie musimy ustalić.

— Zgoda, kapitanie. Zrobi się. Ale co to ma wspólnego ze śmiercią Alicji Kowalskiej?

Telefon przeszkodził Smolakowi w udzieleniu odpowiedzi.

— Cześć! — usłyszał w słuchawce głos Janikowskiego. — Chylę głowę! Miałeś rację! Pasują. Jak na to wpadłeś?

— Płacą mi za myślenie. I to wcale nieźle.

— Kiedy go zdejmujecie?

Smolak wahał się przez chwilę, zanim powiedział:

— Nie wiem. Poczekam jeszcze. Wyniki obserwacji są interesujące. Jeszcze nie na wszystkie pytania potrafię odpowiedzieć. Chodzi także o jego powiązania...

— Może masz rację — zgodził się Janikowski. — Oficjalną ekspertyzę otrzymasz za kilka dni. Nie za późno?

— Nie. Poczekam.

Później ponad godzinę naradzał się z Henkiem, ustalając plan ich wspólnych działań. Jednego tylko nie był w stanie przewidzieć...

---

## XI

---

Wiktor Smalec położył dłoń na nagich plecach leżącej na tapczanie dziewczyny. Później sięgnął po kieliszek do połowy napełniony wódką, stojący na podłodze. Wypił.

Wstał i zaczął powoli ubierać się.

— Idziesz już? — zapytała sennym głosem.

— Muszę. O 22.50 mam pociąg do Krakowa.

— Kiedy wracasz?

— Za dwa, trzy dni.

— Odprowadzić cię?

— Nie ma potrzeby — powiedział ostro. — Jest już późno. Muszę się spieszyć.

— Jak chcesz — zgodziła się. — Zadzwoń, gdy wrócisz z Krakowa?

Nie odpowiedział. Poszedł do okna, rozsunął story i wyjrzał na ulicę. Następnie podniósł kołnierz płaszcza i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Wywiadowca Rysiek usiłował nie zasnąć za kierownicą Fiata, lecz mimo to głowa raz po raz opadała mu na piersi. Zaczynał monotony, paździenikowy deszcz i szyby pokrywały się od wewnątrz warstewką pary. Od pobliskiej stacji benzynowej, o tej porze nieczynnej, niósł się specyficzny zapach etyliny.

Dyżurował w wozie od godziny dwudziestej, to jest od czasu, gdy przejął trzecią zmianę. I czekał. W cieniu pobliskiej bramy stał oparty o mur wywiadowca Bolek, chłopak młody, niedawno przydzielony do ich sekcji.

Dwunasty dzień obserwacji! Stale tego samego człowieka! I nic.

Ten Smolak — pomyślał — chyba w piętkę goni. Na co on liczy? Taka robota nie ma sensu.

Dwa dni temu podniósł to na naradzie, ale Heniek, kierujący ich grupą, przywołał go do porządku.

— Szkoda czasu na dyskusje. Takie są polecenia naczelników wydziałów Kryminalnego i Kontroli Ruchu Drogowego.

Ani się spostrzegł, gdy przysnął. Z drzemki wyrwał go podniecony głos Bolka, który rozległ się w słuchawce:

— Wyszedt!

Rysiek wytarł zaparowaną szybę i włączył wycieraczki. Po przeciwległej stronie ulicy mignęła mu znajoma sylwetka.

— Znów będziemy odprowadzali naszego przyjaciela do domu — mruknął. — Codzienna warta honorowa.

Ziewnął. Na wszelki wypadek odpowiedział:

— Widzę! Nie idź za blisko!

Ruszył flegmatycznie wozem do przodu, poprawiając laryngofon przymocowany pod kołnierzem koszuli.

Przejechał kilkaset metrów i przy krawęźniku znów się zatrzymał.

— Gdzie jesteście? — zapytał.

— Skreślił w ulicę Barbary.

— Dobra, zaraz będę w pobliżu!

Zręcznie zawrócił pojazd. Wyregulowany silnik pracował cicho na wolnych obrotach.

— Cholera! — zaklął niespodziewanie. — Jednokierunkowa!

Zatrzymał wóz nie opodal kościoła. Poprawił słuchawkę, która zaczęła wysuwać się z ucha.

Minęło kilka minut, a Bolek nie odzywał się. Cisza zaczęła go denerwować.

Czyżby go zgubił?

Teraz żałował, że to nie on prowadzi pieszą obserwację. Bolek był niedoświadczonym wywiadowcą, a o błąd w ich pracy nie było trudno. Trzymał więc nadal silnik na małych obrotach, gotowy w każdej chwili wrzucić bieg i wcisnąć pedał przyspieszenia.

A może źle stanął? Czyżby w tym miejscu następował zanik łączności? Wiedział, że tak się czasem zdarza. I to go jeszcze bardziej niepokoiło.

— Uważaj! — zachrypiało nagle w słuchawce. — On coś dziwnego wyczynia!

— Co?

— Słabo go widzę. Zdaje się, że manipuluje przy jakimś samochodzie.

— Jaki to pojazd? Podaj markę! — krzyknął zapominając, że równie dobrze może przecież mówić ściszym głosem.

— Nie widzę numeru wozu! — usłyszał zdenerwowany głos Bolka. — Podjedź do skrzyżowania Wspólnej i Poznańskiej. Nie! Poczekaj! Zawraca! Jedź szybko do Emilii Plater i Nowogrodzkiej!

— Bolek! Co to za wóz! Marka! Numer!

— To Hillman, taki mały, 875 „Californian”. W numerze rejestracyjnym ma cyfry „22”.

— Wał szybko do mnie! — krzyknął Rysiek. — Widzę go! Szybko!

W napięciu czekał. Wreszcie usłyszał tupot stóp i zdyszany oddech Bolka.

Ruszył na najwyższych obrotach za Hillmanem. Ale w mieście dogonić uciekający pojazd nie jest łatwo.

— Szybciej! — ponaglał go Bolek, podkscytowany tą swoją pierwszą akcją. — Nie możemy go zgubić! Dogoń go, zajedź mu drogę! On przecież ukradł ten samochód.

Rysiek, mimo napięcia spowodowanego prowadzeniem Fiata na dużej szybkości i w złych warunkach atmosferycznych, nie mógł odmówić sobie kpiącej uwagi:

— Tylko się nie podniecaj za bardzo i nie sięgaj po broń. Nie będzie żadnego kowbojskiego pościgu! Instrukcje są wyraźne. Obserwować! I nic więcej!

— Przecież lepiej złapać go i zatrzymać na gorącym uczynku — obstawał Bolek.

— Czyś ty zwariował? Chcesz spowodować kraksę albo, co gorsze, żeby zabił kogoś po drodze? Jedziemy za nim cichusieńko. Zobaczmy, dokąd odstawi ten skradziony wóz.

— Ale... — nie ustępował Bolek.

— Nic na siłę! — przeciał dyskusję Rysiek. — Skąd wiesz, że go ukradł? Włał się do niego czy kluczykami otworzył?

— Chyba go otworzył — przyznał Bolek. — Ale trochę się przy tym grzebał.

Ryskowi nie chciało się tłumaczyć, o co chodzi w tej sprawie. W innych okolicznościach może by i pogonił za złodzie-

jem, ryzykując nawet ewentualną krakę. Nigdy przecież nie wiadomo, kiedy bardziej się ryzykuje: wówczas gdy się takiego goni, czy też wówczas gdy... Nie miał zresztą czasu, by Bolkowi cokolwiek wyjaśnić. Całą uwagę skupił na kierowaniu Fiatem.

Smalec, dojeżdżając do placu Zawiszy, spojrzął w lusterko wsteczne. Niczego podejrzanego nie zauważył. Gwałtownie przejechał przez rondo i wpadł w ulicę Towarową. Pusta jezdnia pozwalała na rozwinięcie szybkości.

Trzeba tylko wydość się na Pragę — pomyślał. — I po wszystkim. Najlepiej przez drugi most.

Skrzyżowanie Towarowej ze Świerczewskiego, a następnie z Leszmem przejechał szybko, ale spokojnie. Ulica Okopowa, będąca jak gdyby przedłużeniem Towarowej, zmuszała do większej ostrożności w kierowaniu pojazdem.

— No i po krzyku! — powiedział półgłosem. — Jeszcze tylko wyjechać z Warszawy i mogą mnie szukać. Do Krakowa pojedzie się rannym pociągiem. W razie czego dziewczyna zaświadczy, że wyjechałem w nocy...

Deszcz padał coraz intensywniej. Wycieraczki ledwo nadażały ze zgarnianiem strug wody lejącej się na szyby. Postanowił włączyć światła drogowe, by zwiększyć widoczność.

I wówczas niespodziewanie w smugach bijących z reflektorów ujrzał milicyjny wóz patrolowy, stojący tuż na skrzyżowaniu ulic Okopowej i Powązkowskiej.

Wahał się tylko przez chwilę. Później docisnął przyspieszenie. Zrywny, mały pojazd na niewielkiej przestrzeni osiągnął niemal od razu znaczną szybkość. Ponad 90 kilometrów na godzinę!

Później wszystko rozegrało się w kilkunastu sekundach. Zanim się spostrzegł, dojechał do ronda. Usłyszał jeszcze przeciągłe zawrożenie syreny wozu milicyjnego, który ruszył za „zwariowanym kierowcą”, wzywając go sygnałem dzwinkowym do zatrzymania się.

Skręcił ostro w prawo, lecz nie zdołał opanować pojazdu. Odruchowo nacisnął hamulec. Mały Hillman w śmiertelnym

poślizgu na mokrej jezdni z łoskotem wpadł na szyny tramwajowe, uderzył w słup trakcji elektrycznej, odbił się od niego, zakreślił jak bąk i znieruchomiał. Lewa strona karoserii została niemalże ścięta; lewa — od strony kierowcy!

Z wyhamowującego szybkość radiowozu wyskoczyło dwóch milicjantów. Po chwili nadjechał Fiat kierowany przez Ryśka. W czwórkę rzucili się na ratunek. Kierowca wozu patrolowego przez radiotelefon zaczął wzywać ambulans pogotowia ratunkowego.

Łyżką do opon wyrwali zamek zmiażdżonych drzwi samochodu. Na rękach wynieśli Smalca, okryli go kocami zdjętymi z siedzenia Fiata. Bo jeśli żyje, utrzymanie ciepłoty ciała jest przecież ważne dla ratowania życia. Wiedzieli jednak, że nie ma szans...

— Głupi szczeniak! — W zdenerwowaniu powtarzał starszy wiekiem plutonowy milicji. — Co za głupi szczeniak!

— Jak to się stało? — dopytywał się Rysiek nie mniej wstrząśnięty wypadkiem, usiłując, pomimo deszczu, zapalić papierosa. — Chcieliście go zatrzymać? Dlaczego?

— Nic podobnego! — zaprzeczył plutonowy z wozu patrolowego. — Nagle oślepił nas reflektorami i dodał gazu. Zawróciliśmy. Włączyliśmy syrenę. Myśleliśmy, że może sygnał tego idiotę zatrzyma. Zresztą gonić go bez syreny w taką pogodę to samobójstwo. Ale on jeszcze zwiększył szybkość! I zniosło go na rondzie. Każdego by zniosło! Co za głupiec!

— To nie głupiec — w zamyśleniu powiedział Rysiek. — Nie wytrzymał nerwowo. Przestraszył się, gdy was zobaczył. W gruncie rzeczy to był tylko zdemoralizowany szczeniak. Parszywa sprawa! Zdaje się, że tu już żaden lekarz nie pomoże.

Pochylił się raz jeszcze nad ciałem Smalca.

— No, tak... — powiedział. — Trzeba zawiadomić dyżurnego komendy. Takiego zakończenia nikt się nie spodziewał. Najprzód dziewczyna, teraz on...

— Wyjechał już z WKRD ambulans wypadkowy z porucznikiem Janikow-

skim — zameldował kierowca wozu patrolowego. — Oficer dyżurny polecił zabezpieczyć miejsce wypadku i czekać.

Rysiek otarł chusteczką ściekające z włosów strużki deszczu.

— Janikowski rozpoczął badanie tej sprawy i będzie ją teraz kończyć. Choć nie! — dodał po chwili ze złością. — Trzeba jeszcze rozliczyć tych, którzy takich szczeniaków popychają do kradzieży samochodów i którzy zarabiają na tym niemałe pieniądze!

---

## XII

---

Był późny poniedziałkowy wieczór trzeciej dekady października, gdy Smolak został wezwany do gabinetu zastępcy komendanta stołecznej milicji.

Przy tradycyjnym stole konferencyjnym, zarzuconym czasopismami i aktami, siedzieli już naczelnicy wydziałów Kryminalnego oraz Kontroli Ruchu Drogowego, a także prokurator. Celem spotkania było omówienie sprawy kryptonim „Alibi”.

Dwudziesty trzeci dzień dochodzenia — policzył Smolak w pamięci. — Zaczęło się z soboty na niedzielę i z soboty na niedzielę nastąpił tragiczny finał.

— Przejeliśmy już całość materiałów z Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego — zagał naradę naczelnik Wydziału Kryminalnego. — Sprawa wypadku, spowodowanego przez inżyniera Werendę, jest obecnie tylko fragmentem czy marginesem tego, do czego dochodzimy. Wczoraj, to jest w niedzielę, przeprowadzono szereg zatrzymań. Dziś trwają przeszukania pomieszczeń warsztatowych oraz mieszkań podejrzanych. Nie lubię słowa „gang”, ale jest to niewątpliwie zorganizowana grupa przestępcza. Właściwe dochodzenie dopiero się rozpoczyna.

— Jakie są wyniki przeszukań i ile ludzi zatrzymaliście? — zapytał prokurator,

manipulując jednocześnie przy swojej nieodłącznej fajce.

— W dwóch podwarszawskich warsztatach naprawczych, a ściślej fikcyjnych warsztatach, z którymi utrzymywał kontakty Smalec, znaleźliśmy części do pojazdów samochodowych zarówno marek zagranicznych, jak i krajowych. Są to części nowe i używane, ale także trafiają się wybrakowane. Te ostatnie po „chąłupniczej regeneracji” także były montowane do samochodów albo sprzedawane jako nowe. Jaka to była „regeneracja”, lepiej nie mówić.

— To już nie tylko oszustwo — oburzył się naczelnik WKRD — to zbrodnia z punktu widzenia bezpieczeństwa ruchu.

— Bez wątpienia. I tu jest sedno sprawy. Znaleźliśmy także karoserię ze skradzionej przed kilkoma miesiącami Warszawy oraz silnik skradzionej Syreny. Tej ostatniej nie mógł ukraść Smalec, bo był w tym czasie pod naszym nadzorem. Oznacza to, że nie tylko Smalec dla nich pracował.

— Należy dodać, że oba warsztaty nie są w rzeczywistości warsztatami napraw pojazdów samochodowych — wtrącił Smolak.

— Tak — zgodził się naczelnik Wydziału Kryminalnego. — To także jest ważne w tej sprawie. Oba warsztaty są oficjalnie zarejestrowane jako „ślusarskie” i nie mają uprawnień do napraw pojazdów samochodowych. Mimo to nie brakowało im klientów, którzy zresztą najczęściej nie po naprawę zgłaszali się do nich, ale żeby przygotować im pojazd do sprzedaży. W jaki sposób — wiadomo. Prowadzono tam zresztą wielobranżowe interesy. U jednego z tych pseudowarsztatowców znaleźliśmy ponad dwa tysiące dolarów w banknotach USA oraz bonach PeKaO. Drugi z nich miał komplet specjalnie wykonanych kluczyków, pasujących do zamczków drzwi samochodów oraz stacyjek zapłonu różnych typów pojazdów. Taki sam komplet porucznik Janikowski znalazł w Hillmanie, którym zabił się Smalec. Trzeba im to przyznać: dobra „fachowa” robota. Zresztą nic dziwnego. Brat właściciela warsztatu jest na-

szym starym znajomym. Zawodowy włamywacz. Ten warsztat to tylko szyld dla różnych interesów. Zatrzymaliśmy pięć osób, ale to dopiero początek...

— A jednak nie każdy pojazd można tymi kluczami otworzyć i uruchomić — zauważył Smolak.

— Hillmana Smalec otworzył...

— Hillmana tak, ale Volvo nie. I to właśnie wyjaśnia okoliczności śmierci Alicji Kowalskiej.

Zastępca komendanta stołecznej MO nacisnął przełącznik selektora i powiedział do mikrofonu:

— Dajcie nam kawy i jakieś kanapki. Posiedzimy dziś długo. — Więc mówisz — zwrócił się do Smolaka — że w tym tkwi sedno zagadkowej śmierci Alicji Kowalskiej? Zreferuj sprawę tak, byśmy mogli prześledzić bieg twojego rozumowania. Masz godzinę do dyspozycji. Tylko spokojnie i bez niepotrzebnych nerwów — dodał niespodziewanie ciepło.

Smolak sięgnął po papierosy. Naczelnik WKRD podsunął mu swoją zapalniczkę.

— Tragiczna i niepotrzebna śmierć Smalca skomplikowała dochodzenie — zaczął i wszyscy wyczuli, jak bardzo przeżywa ten wypadek. — Dwoje ludzi wiedziało, jak rozegrały się te wydarzenia, i oboje nie żyją. Mogę więc jedynie starać się z pewnym prawdopodobieństwem odтворzyć przebieg wypadków, które doprowadziły do ich śmierci. Konieczny to proces, chodzi bowiem także o to, by żaden cień nie przyłgnał do osoby inżyniera Werendy. Z jego win rozliczymy go osobno, jednak ze śmiercią Lilki Kowalskiej nie ma on nic wspólnego. Wbrew wszelkim pozorom!

— Wasze dociekania muszą zatem zastąpić wyjaśnienia zmarłych. Spróbujcie — zachęcił go prokurator.

Smolak skinął głową.

— Wiem. Zacznę od błędów, które sprowadziły mnie z właściwej drogi rozumowania. Otóż nie brałem pod uwagę przypadku. A ten potrafi płatać najrozmaitsze figle. Sprawa wydawała się od początku jakaś dziwna. Niby to był normalny wypadek drogowy i niby nie. Mieliśmy od początku dwóch podejrzanych

o spowodowanie śmierci Kowalskiej i jednocześnie żadnemu nie byliśmy w stanie udowodnić winy.

Cofnijmy się do początków dochodzenia. Badanie miejsca wypadku sugerowało, że dziewczyna zginęła w samochodzie Tereckiego. Znalaziono ją niedaleko jego pojazdu. Ale jednocześnie odciski palców sugerują, że ta sama dziewczyna przebywała w wozie Werendy. To po pierwsze. Po drugie przypuszczaliśmy, że Terecki nie jechał wtedy sam. Ale właśnie tenże Terecki, który niewiele pamięta, jest niemalże pewien, że nikogo z nim nie było.

Inaczej rzecz się ma z Werendą. Twierdzi, że na pewno w czasie wypadku był sam w samochodzie. Początkowo wierzymy mu, lecz później udowodniamy, że jednak miał pasażera! I ten pasażer daje mu nowe alibi. Werendzie trudno wierzyć. Wpierw stworzył sobie fałszywe alibi, później okłamywał nas utrzymując, iż Alicji Kowalskiej nigdy nie widział, podczas gdy porucznik Janikowski, który jest doświadczonym technikiem dochodzeniowym, wyraźnie stwierdził, że odciski palców Kowalskiej, znalezione w pojeździe Werendy, były świeże. Powtarzam: świeże! Każdy doświadczony kryminalistyk potrafi taką rzecz stwierdzić bezbłędnie. To się wyczuwa w czasie ujawniania śladów. Jeden więc z podejrzanych kłamie. Tylko który? Sprawa tak się skomplikowała, że początkowo każdy z nas — mam na myśli porucznika Janikowskiego i siebie — reprezentował inny pogląd, każdy budował inną wersję zdarzenia w oparciu o te same dowody.

— Rzeczywiście — przyznał zastępca komendanta — nieczęsto się zdarza, by dwa wypadki drogowe, następujące jeden po drugim, tak silnie się ze sobą zażybiały.

— To nas może w jakiś sposób i usprawiedliwia — mówił dalej Smolak. — Ale niezupełnie. W końcu zaczęliśmy wątpić, czy Kowalska w ogóle zginęła w wypadku drogowym. Wersji zbudowaliśmy wiele. Nie będę zabierał czasu opowiadaniem o naszych sporach, wątpliwościach i najrozmaitszych domysłach.

Przerwał na chwilę, by zapalić kolejnego papierosa.

— Sam nie wiem, kiedy zacząłem domyślać się prawdy. Założyłem, że jeśli uda mi się prześledzić, co robili w nocy z soboty na niedzielę wszyscy podejrzani, to jednocześnie uda się także znaleźć odpowiedź na pytanie, który z mężczyzn: Werenda czy Terecki miał możliwość zabrać Kowalską do swojego samochodu. Założyłem, że przecież gdzieś musieli się spotkać. Zacząłem poszukiwania od nocnych lokali. Dlaczego? Szereg informacji podpowiadał ten właśnie kierunek poszukiwań. Terecki regularnie uczęszczał do nocnych lokali, obaj z Werendą byli ubrani w wyjściowe garnitury. Ale już wówczas zaczęły nurtować mnie i inne wątpliwości.

Trudno powiedzieć, kiedy zdałem sobie sprawę, że jeśli nie wyrwę się z zamkniętego kręgu: Werenda — Kowalska — Terecki, to sprawa stanie się nie do ugryzienia. Czulem, że — poza dwoma podejrzanymi — jest jeszcze „ktoś”, kto pozostaje w cieniu. Początkowo wiązałem go z Werendą. Wiedziałem, że inżynier coś ukrywa. Obliczyłem, że zbyt wiele czasu upłynęło od wypadku do powiadomienia milicji. Brakowało mi dwudziestu minut. Miałem pierwszy sygnał alarmowy! Powiązałem to z rzekomym alibi Werendy i postanowiłem je obalić.

Zadanie okazało się łatwe. Ukrywana przez Werendę osobą była jego kochanka, świadek wypadku. Udowodniłem więc wprawdzie, że Werenda zmontował sobie fałszywe alibi, lecz jednocześnie dostarczyłem mu nowego alibi opartego o zeznania pani Joanny Wikler. Oczywiście, teoretycznie, nie mogłem wykluczyć i takiej możliwości, że to nowe alibi jest także fałszywe i ma na celu osłaniać Werendę od zarzutu spowodowania śmierci Kowalskiej.

Później jednak odrzuciłem tę wersję. Cechy osobowości zarówno Joanny Wikler, jak i inżyniera Zielińskiego nie pasowały do tak ryzykownej gry. Inżynier Zieliński mógł zgodzić się na złożenie fałszywego świadectwa, gdy szło o wypadek drogowy. Szczególnie iż chodziło

o niemieszanie w tę historię zaprzyjaźnionej z nim Joanny Wikler. Gdy idzie o sprawy intymne, przyjaciele nierzadko świadczą sobie takie przysługi. Ale w tak poważnej kwestii, jak spowodowanie śmierci młodej dziewczyny, Zieliński nie zdecydowałby się na składanie fałszywych zeznań. Są pewne granice, których rozsądny człowiek nie przekracza.

No tak. Ale jak wytłumaczyć fakt, że w samochodzie Werendy znaleziono odciski palców Kowalskiej? Muszę przyznać, że długo nie mogłem uwierzyć, iż Werenda nie znał Alicji Kowalskiej. Tę kwestię postanowiłem wyjaśnić w terminie późniejszym. Pomyślałem sobie: nie chcesz nic powiedzieć o swojej znajomości z Kowalską — to nie mów. Najważniejsze, że wiem, iż była także w barze restauracji „Bristol”. Jest punkt wyjścia dla prześledzenia jej drogi z nocnego baru do miejsca, w którym poniosła śmierć. A gdzie w tym samym czasie przebywał Terecki?

Z Tereckim były kłopoty. Po urazie głowy wystąpiła luka pamięciowa. Muszę się przyznać, że w pewnym momencie zwątpiłem, czy uda mi się cokolwiek od niego dowiedzieć. Jednak to on, sam o tym nie wiedząc, w czasie naszej pierwszej rozmowy, podsunął mi klucz do rozwiązania zagadki. Ale o tym — później. W pierwszym przesłuchaniu Tereckiego dowiedziałem się, że był w jakimś barze nocnym, w którym grała orkiestra, a następnie jechał w dół krętą drogą. Więc może również „Bristol”? Później potwierdziliśmy to eksperymentalnie. Obaj podejrzani byli zatem w tym samym czasie w tym samym lokalu, w którym również przebywała Alicja Kowalska!

— Poczekaj — przerwał mi naczelnik Wydziału Ruchu Drogowego. — Z okoliczności wypadku wynikało, że Terecki musiał z baru wyjść wcześniej niż Werenda. Jeśli więc wierzyć zeznaniom Joanny Wikler, wniosek mógł być tylko jeden: Alicję Kowalską mógł z baru zabrać do swojego samochodu tylko Terecki...

— Ja też tak myślałem — zgodził się Smolak. — I to był błąd. Alicja Kowalska rzeczywiście uległa śmiertelnemu wypad-



kowi w pojeździe Tereckiego. Ale myśmy bezkrytycznie przyjmowali, że Volvo w chwili wypadku musiał prowadzić Terecki. Zemściła się na nas nasza własna rutyna. I brak wyobraźni. A należało, choćby teoretycznie, dopuścić możliwość i innej wersji, szczególnie, że istniały ku temu materialne przesłanki. Już przecież pierwszego dnia, w toku oględzin, ustaliliśmy, co następuje: „prawe przednie drzwi w pojeździe Volvo otwarte na oścież, lewe przednie drzwi zamknięte, lecz nie zablokowane, lewe tylne drzwi zamknięte i nikt przez nie nie wychodził, prawe tylne drzwi nie domknięte”. W oparciu o te przesłanki należało dojść do wniosku, że w Volvo znajdowały się w chwili wypadku co najmniej dwie osoby albo i trzy. I ta trzecia osoba ukrywa się w cieniu.

— Co to znaczy „ukrywa się w cieniu”?

— Powiedziałem to oczywiście w prze-nośni. Wspominałem już, że zacząłem podejrzawać, iż poza Tereckim — Kowalską — Werendą w sprawie tej tkwi jeszcze „ktoś”. Założmy, że ten „ktoś” znajdował się również w wozie Tereckiego. Gdzie siedział? Obok kierowcy? Z tyłu za kierowcą? A może to on prowadził? Na to pytanie oczywiście nie sposób było odpowiedzieć, zwłaszcza iż Terecki z uporem powtarzał, że „chyba jechał sam”. Raz jeszcze przeanalizowałem wszystkie materiały dochodzenia. Z zeznań Werendy wynikało, że Terecki w momencie, gdy wtargnął na jezdnię, zachowywał się, jakby był pod wpływem silnego upojenia alkoholowego albo... jak człowiek znajdujący się w szoku. To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne. Wiedziałem, że Terecki, po uderzeniu jego pojazdu w drzewo, uległ silnym potłuczeniom. Czyżby więc w takim stanie, po wydstaniu się z rozbitego wozu, starannie zamykał za sobą drzwi? A co więcej, miałby tyle siły, by ciało Alicji Kowalskiej przenieść w pobliskie zarośla? Mało prawdopodobne.

— Rozumowanie wasze jest logiczne — wtrącił zastępca komendanta stołecznej MO. — Ale co z dowodami?

— Przypomniałem sobie wówczas pew-

ną głośną swego czasu sprawę — kontynuował Smolak. — Zdarzyło się to bodajże kilka lat temu w województwie wrocławskim. Omawialiśmy ten *casus* na szkoleniach zawodowych. Na poboczu drogi znaleziono samochód ze zwłokami kierowcy. Ułożenie zwłok wskazywało, że to on prowadził pojazd. Jak to się mówi — „siedział za kierownicą”. Nie ulegało wątpliwości, że zostało popełnione zabójstwo. Ale w toku dochodzenia powstała wątpliwość, czy rzeczywiście kierowcę zabiło w miejscu, w którym wóz znaleziono. Nie wdając się w szczegóły pragnę jedynie zaznaczyć, że to był klucz do całej zagadki. I wówczas eksperci Zakładu Kryminalistyki KGMO oraz Laboratorium Kryminalistycznego KWMO we Wrocławiu eksperymentalnie udowodnili, że zabójca mógł prowadzić pojazd siedząc o bok z włók, które znajdowały się na fotelu kierowcy. Ta historia nasunęła mi pewną myśl. Przesłuchiwałem bardzo dokładnie zeznania Tereckiego, nagrane w szpitalu na taśmę magnetofonową. Dokonałem selekcji i odpowiedniego montażu. I wówczas zrozumiałem, że przeoczyłem to, co było w nich najważniejsze. Terecki powiedział: „Byłem... gdzieś, gdzie grała orkiestra... byłem w barze. Siedziałem przy barze... pojechałem do domu... Bo gdzie mógłbym pojechać? Chyba byłem sam. Wiem, że później jechałem w dół, jakąś krętą drogą. Była jakaś kobieta. Ale czy wychodziła ze mną? Myślę o tym bez przerwy. Nie wiem, co się stało. Głowa zaczęła mnie boleć. Bardzo boleć...” Gdy go przesłuchiwałem w szpitalu, sądziłem, że nagle rozboleła go głowa w związku z moimi uporczywymi pytaniami. Był przecież bardzo osłabiony. Później dopiero zrozumiałem, że nie o to chodziło! Głowa zaczęła go boleć, gdy jechał w dół krętą drogą, to znaczy, gdy jechał wiaduktem Markiewicza ku Wiśle lub gdy już zjechał ze ślimaka. Mówiąc inaczej: Terecki nagle poczuł gwałtowny ból głowy i od tego momentu już niczego nie pamiętał.

I wówczas zadałem sobie pytanie: w którym miejscu Terecki traci świadomość? Dlaczego nie mogło się zdarzyć tak,

jak w województwie wrocławskim? Może go nieprzytomnego zawieziono już na Wybrzeże Gdyńskie? Przyjmując taką wersję powiedziałem sobie: podpity Terecki zaczął przy barze Alicję Kowalską albo też to ona go sobie upatrzyła. Wyszli razem. Zabrał ją do samochodu. Ona mówi, że „jest z bratem” lub coś w tym guście. Zapraszają go na wódkę. Dziewczyna „lepi się” do niego. Stary chwyt. Bywało już tak?

— Bywało.

— Jadą wszyscy troje. W pewnym momencie Terecki otrzymuje cios w głowę. Traci przytomność. Przesuwają go na prawy fotel. „Brat” siada za kierownicą. Skręcają w odludne miejsce. Niespodziewanie następuje wypadek: pojazd uderza w drzewo. Dziewczyna ginie, zresztą wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Pseudobrat wynosi ją z samochodu. Dostrzega, że nie żyje. Jest przerażony. Odciąga jej ciało i chowa w pobliskich zaroślach. Zabiera torebkę z dokumentami, by utrudnić identyfikację zwłok. Ucieka! Terecki odzyskuje przytomność. Ponieważ siedzi na prawym, przednim fotelu, więc wydostaje się przez prawe drzwi samochodu. Nie wie, co zaszło, natomiast wie, że jest ranny. Chce się ratować. Idzie w kierunku świateł ulicznych latarni. Usiłuje zatrzymać nadjeżdżający samochód Werendy. I wówczas następuje drugi kolejny wypadek...

— Tym pseudobratem był oczywiście Wiktor Smalec?

— Tak jest. Tylko niezupełnie trafnie odtworzyłem przebieg zdarzenia.

Smolak na chwilę przerwał i wypił kilka łyków kawy.

— Motyw działania! To było najważniejsze. Rabunek? Tereckiemu nic nie zginęło, a miał przecież przy sobie ponad trzy tysiące złotych, złoty zegarek na rękę i złoty sygnet z drogim kamieniem na palcu, żeby wszyscy widzieli, jaki to on zamożny. Oczywiście przestraszony sprawca mógł uciec, zapominając o celu, dla którego popełnił przestępstwo. Tak też się zdarzało. Sprawę trzeba było jednak wyjaśnić. Zajęliśmy się więc osobą Wiktora Smalca. Dlaczego akurat nim? Na to zło-

żyło się wiele. Ustaliliśmy, że Alicja Kowalska zamieszkała u niego po opuszczeniu rodzicielskiego domu. Obserwacja Smalca początkowo nie przynosiła rezultatów. Wyjechał gdzieś i należało przypuszczać, że zapewnił sobie jakieś alibi. Pytano mnie, dlaczego nie przesłuchuję Smalca i nie zarządzam przeszukania jego mieszkania. Nic by to przecież nie dało. Smalec jeszcze tej samej nocy, której zdarzył się wypadek, usunął z mieszkania wszystkie rzeczy Alicji Kowalskiej. W „Bristolu” go nie widziano. A on nie jest głupi. Wystarczyło więc, by zeznał, że na przykład pokłócił się z Lilką i że opuściła jego mieszkanie dzień wcześniej. Oczywiście, gdybym przewidział finał tej sprawy, może postąpiłbym inaczej... Obserwacja Smalca zaczęła jednak dostarczać wiele ciekawego materiału. Coraz wyraźniej rysowała się nam jego sylwetka, coraz częściej uzyskiwaliśmy informacje, że jest on powiązany z jakimś lewym biznesem samochodowym. Ustaliliśmy także, że już jako młody chłopak miał inklinacje do „pożyczania sobie” cudzych samochodów. I to był nowy sygnał. Od otrzymania tych informacji zacząłem inaczej patrzeć na „motyw działania”. Kradzież samochodu! To mi pasowało do Smalca!

— U nas to jeszcze nie jest taką plagą, jak na Zachodzie — przerwał Smolakowi zastępca komendanta stołecznej MO. — W Paryżu co kilka minut ginie jakiś samochód. Dobrze i to, że stworzono art. 214 kodeksu karnego. Trzy lata pozbawienia wolności za bezprawne, krótkotrwałe użycie cudzego samochodu, a w przypadku porzucenia go w stanie uszkodzonym do pięciu lat pozbawienia wolności. Powinno podziałać odstraszać.

— Ale represja jest zbyt liberalna! I to rozzuchwała. Przykład — nasz Smalec. Gdyby w młodości dostał dobrze po łapach za „pożyczenie sobie” cudzego samochodu, może nie doszłoby do tego nieszczęścia. Najpierw „pożycza”, później kradnie. A ile wypadków drogowych powodują ci amatorzy cudzych pojazdów?

— Tak właśnie zaczynał Smalec. Później zaczął pośredniczyć w sprzedaży starych wraków odpowiednio wyremontowa-

nych. Nawiązał przy tym kontakty z podejrzаныmi warsztatami naprawczymi i... zaczął znów kraść samochody. Ale już nie dla „przejażdżki”. Znalazł odbiorców albo oni jego znaleźli. Udało mu się raz i drugi, więc rozsmakował się w tym łatwym chlebie. Oczywiście odbiorcy, a nie on, robili na tym interesy. To wytrawni kombinatorzy, a on tylko zdemoralizowany młody chłopak. Myślę, że w pewnym sensie kraść na zamówienie. Nasza sprawa to w rzeczywistości nic innego, jak usiłowanie kradzieży samochodu Volvo. Choć to stary model, Volvo-124, lecz w doskonałym stanie. Jego wartość rynkowa przekracza 150 000 złotych. Oczywiście paserzy zapłaciliby mu jedną trzecią tej sumy albo jeszcze mniej... Gdy zrozumiałem istotę sprawy, założyłem, że Smalec wcześniej czy później znów zaryzykuje. Był pewny siebie. Wydawało mu się, że nic o nim nie wiemy. Oficjalnie dochodzenie prowadziliśmy przecież przeciwko Werendzie i Tereckiemu. I stało się! Nie przewidziałem tylko, że zakończy się to tak tragicznie.

— Takiego zakończenia oczywiście nie mogliście przewidzieć — powiedział prokurator. — Ale nie wyjaśniliście jeszcze, jak naprawdę doszło do śmierci Alicji Kowalskiej i w jaki sposób odciski jej palców znalazły się w samochodzie Werendy?

Smolak głęboko zaczerpnął tchu. Widać było, że jest zmęczony. Ostatnie dwa dni dały mu się bardzo we znaki.

— Mogę jedynie przedstawić swoją koncepcję. Wierzę w nią, ale w szczegółach mogę się mylić. Werenda nie znał Alicji Kowalskiej. Widział ją tylko raz, w szatni restauracyjnej. Werenda ogląda się niemal za każdą młodą i ładną dziewczyną. To taki typ. Może zamienił z nią kilka słów, może zawarł przelotną znajomość, a może nawet umówił się? W każdym razie zapamiętał ją. By wyjaśnić, w jaki sposób doszło do śmierci Alicji Kowalskiej, muszę przedstawić wpierw kilka szczegółów. Werenda jest elektronikiem. W jego pojeździe zostało zamontowane specjalne urządzenie, uniemożliwiające uruchomienie silnika. Można wyrwać stacyjkę, spinać przewody — nic nie pomoże.

A znalezienie przełącznika jest wyjątkowo trudne. Kluczyki, które były przy Smalcu, pozwalają otworzyć zamek drzwi Volkswagena. Natomiast, i to jest ważne, nie można nimi otworzyć drzwi Volvo ani też uruchomić silnika. Nie pasują do stacyjki. W czasie oględzin pojazdu Tereckiego dostrzegliśmy oczywiście, że wywietrznik jest otwarty. I ten szczegół jest ważny. Dalszą sprawą to wysokie podglówki zamontowane na obu fotelach Volvo. Sprawdziliśmy to dzisiaj eksperymentalnie. Gdy wsiada do tego pojazdu, szczególnie nocą, a pamiętać musimy, że Terecki był podпиты, można nie zauważyć ukrytego z tyłu człowieka, o ile skuli się on na tylnym siedzeniu. Oczywiście ryzykowne to przedsięwzięcie ukryć się z tyłu wozu, ale możliwe. Praktyka nasza notowała już takie przypadki. Do własnego pojazdu wsiada się niezbyt uważnie. Otwiera się drzwi i... siada się. Żeby więc wytłumaczyć przebieg tego tragicznego zdarzenia, trzeba założyć, że Smalec wpierw usiłował ukraść Volkswagena Werendy. Zameczek drzwi otwiera bez trudu. Odblokowuje prawe drzwi i wpuszcza do wozu Lilkę. Nie jest jednak w stanie uruchomić silnika. Kluczyk pasuje, rozrusznik pracuje, a silnik milczy. Smalec orientuje się, że pojazd posiada zabezpieczenie. Szukać przełącznika nie ma sensu. Szybko wysiadają więc z wozu. Lilka pozostawiła swoje odciski palców na klamce wewnętrznej drzwi!

— Śmiała hipoteza!

— Ale nie bez podstaw. Myślę, że oczekali jakiś czas, zanim ponownie spróbowali. Tuż za Volkswagenem stoi Volvo. I znów spotyka ich zawód. Tym razem nie mogą otworzyć drzwi. Kluczyki nie pasują. Dostrzegają jednak otwarty wywietrznik. To daje szansę dostania się do pojazdu. Przypuszczam, że wówczas Lilka poszła do baru. Dlaczego? Tego się już nie dowiemy. Smalec, wykorzystując otwarty wywietrznik, otwiera drzwi i siada, skulony, na tylnym siedzeniu. Czeka i obserwuje. Wreszcie wychodzi podпиты Terecki. Prawdopodobnie wraz z nim idzie Lilka. Terecki przecież stale powtarzał, że przy barze była z nim „jakaś dziewczy-

na". Ale jednocześnie wyraźnie twierdzi, że „chciał już tylko jechać do domu”. Wsiada do wozu. Uruchamia silnik. Wsiada sam. I to jest prawda. Zapala papierosa, następnie rusza w dół ślimakiem, z zamiarem dojechania do Wybrzeża Gdyńskiego. Jedzie ostrożnie. Wie, że jest po dużej wódce. Przy zbiegu ulic Browarnej i Karowej na chwilę zatrzymuje się. Zapala wygasłego papierosa. I nagle dostrzega w lusterku jakąś twarz. Jest przerażony. Więcej niczego już nie pamięta. Prawdopodobnie dostał czymś mocno w głowę.

— Ryzykowne przedsięwzięcie! Niemal nieprawdopodobne.

— A jednak, towarzyszu prokuratorze, tak to się mogło odbyć.

— Powiedzmy to samo, ale nieco skromniej — zwrócił Smolakowi uwagę naczelnik WKRD. — To jest najbardziej prawdopodobna wersja.

— Tak jest. Przypuszczam, że Lilka zbiegła schodami w dół. Przesuwają nieprzytomnego Tereckiego na prawy przedni fotel. Lilka zajmuje miejsce za Tereckim. Uruchamiają pojazd i jadą do Wybrzeża Gdańskiego, a następnie Wybrzeżem Gdyńskim do bocznej ulicy wiodącej ku Marymontowi. Myślę, że postanowili zjechać, dla większego bezpieczeństwa, nawet z tej bocznej trasy. Prawdopodobnie wyrzuciliby Tereckiego gdzieś nad Wisłą, a sami odjechali wozem. I wówczas następuje kraksa. Smalec uderza w drzewo. Uderzenie nie jest może tak bardzo silne, ale tragiczne w skutkach. Należy przypuszczać, że Smalec chciał ratować Lilkę. Wyniósł ją z wozu. Gdy zorientował się jednak, że nie żyje, ciało jej ukrył w pobliskich krzakach. Zarośla były lekko oświetlone reflektorem samochodu. Nie musiał szukać innego miejsca. Zabrał oczywiście torebkę z dokumentami. Pojechał jak najszybciej do domu i jeszcze tego samego dnia opuścił Warszawę. Sąsiadka widziała, jak wynosił jakąś walizkę, prawdopodobnie z rzeczami Lilki. Powrócił po kilku dniach, mając przy sobie tylko niewielki bagaż osobisty.

— Więc jednak wypadek drogowy spowodował jej śmierć?

— To było pewne od samego początku. Alicję Kowalską podrzuciło do góry tak nieszczęśliwie, że jej głowa, odchylając się do tyłu, uderzyła silnie w dach karoserii. Złamanie kręgu szyjnego z następowym przerwanym rdzeniem przedłużonego. Wprawdzie tego rodzaju urazy występują najczęściej przy upadku na głowę z wysokości, na przykład przy skoku głową do wody, upadku podczas skoku narciarskiego, upadku z konia, ale także występują na skutek uderzenia zadanego z góry. Mechanizm urazu polega na nadmiernym, nagłym zgięciu głowy połączonym z urazem działającym w osi kręgosłupa szyjnego. Śmierć prawie natychmiastowa, a objawy zewnętrzne prawie żadne. Po pewnym czasie Terecki odzyskuje przytomność. Wydostaje się z wozu. Co było później, wiemy dokładnie. Gdyby Weren-da nie usiłował stworzyć sobie fałszywego alibi, nie siedziałby do dziś w areszcie, a cała zagadka zostałaby wcześniej wyjaśniona.

— Albo i nie — odezwał się naczelnik Wydziału Kryminalnego.

— Albo i nie — zgodził się Smolak. — To wszystko, co mogę w tej sprawie powiedzieć.

W gabinecie zaległa cisza. Dopiero po dłuższej chwili zastępca komendanta stołecznej MO zwrócił się do Smolaka:

— Mnie przekonałeś, rozumiesz jednak, że potrzeba jeszcze dowodów — iż tak właśnie było.

Smolak uśmiechnął się chytrze.

— Coś tam się jeszcze nabierało. Otóż w pojeździe inżyniera Weren-dy, poza od-ciskami palców Alicji Kowalskiej, zabezpieczono także kilka nie zidentyfikowanych fragmentów linii papilarnych. Na trzy dni przed śmiercią Smalca nasze laboratorium ustaliło, że dwa dotąd nie zidentyfikowane fragmenty linii papilarnych pochodzą od palców Wiktora Smalca. W dniu dzisiejszym otrzymałem w tej sprawie oficjalną ekspertyzę. Istnieje więc dowód, że on także był w pojeździe Weren-dy. Nie ma chyba żadnych wątpliwości, że był tam razem z Lilką. Koleżanka zmarłej, nowa i ostatnia miłość Smalca, teraz również zaczyna mówić o

różnych swoich podejrzeniach. Rychło w czas! Jej kartka z zapytaniem, dlaczego nie był na pogrzebie Lilki, w świetle tych wszystkich ustaleń staje się również ciekawym dowodem. Nawet i to, że w mieszkaniu Smalca nie znaleźliśmy ani jednego śladu pobytu Alicji Kowalskiej, jest swobodnego rodzaju dowodem. Ponadto...

— Chyba na dzisiaj wystarczy — przerwał mu zastępca komendanta stołecznej MO. — Robi się późno. Naszym rodzinom też coś się przecież od życia należy. Jakie są wnioski?

— Proponuję zwolnić z aresztu inżyniera Werendę. I jeśli można, umorzyć mu warunkowo dochodzenie za spowodowanie wypadku drogowego. Wprawdzie nie zachował dostatecznej ostrożności, jechał z nadmierną szybkością i był po wódce, ale...

— Osobiście zgodziłbym się z tym wnioskiem, jednak wy jesteście gospodarzem tej sprawy — zwrócił się zastępca komendanta do prokuratora.

— Trzeba się zgodzić. Taka nauczka wystarczy mu na całe życie.

Gdy kilka dni później Janikowski wstąpił do pokoju Smolaka, by oddać mu dokumentację jakiegoś kolejnego wypadku drogowego — zastał przyjaciela głęboko coś „przeżuwanego”.

— Co cię tak znów struło? Rzuciła cię może twoja pani? A może rozbili ci twojego Wartburga?

Smolak spojrział w zamyśleniu na Janikowskiego.

— Otrzymałem dziś pewną propozycję. Nie bardzo wiem, co mam odpowiedzieć. Nie chciałbym nikogo obrazić...

— No, wyduś to wreszcie z siebie. Przecież widzę, że chcesz mi o tym powiedzieć.

— Wiesz, że inżynier Werenda został pięć dni temu zwolniony z aresztu przez prokuratora i że umorzono mu dochodzenie?

Janikowski wzruszył ramionami.

— Trudno nie wiedzieć, gdy wokół sprawy jest tyle szumu. No, ale co z tą propozycją? Chcą cię przenieść do innej pracy? A może awansować za wybitne zasługi?

Smolak roześmiał się.

— Żeby! Nic z tych rzeczy. Dziś przed południem zatelefonował do mnie Werenda. Wyobraź sobie, zaprasza mnie do kawiarni hotelu „Grand”. Jak on to się wyraził: na małą kawę i kieliszek koniaku. Na takie przyjacielskie spotkanie. Ma być tam także pani Joanna Wikler i inżynier Zieliński.

— No wiesz? — ucieszył się Janikowski. — Tego jeszcze w kinie nie grali. Jagnię prosi srogiego wilka na kawę i koniak.

— Ja też mu powiedziałem mniej więcej to samo, tylko oczywiście nieco inaczej. I wiesz, co mi na to odpowiedział?

— Żeby się pan kapitan nie wygłupiał i nie traktował zaproszenia inaczej, niż ono na to zasługuje. Zgadłem?

Smolak zaczerwienił się.

— Prawie.

— A ty mu powiedziałeś coś wymijającego, że jesteś bardzo zajęty, że nie wiesz, czy znajdziesz czas — z coraz większym rozbawieniem zgadywał Janikowski.

— Mniej więcej.

— Pójdiesz?

— Nie wiem — z wahaniem w głosie odpowiedział Smolak. — Nie chciałbym go obrazić, ale wiesz... To może być opacznie odczytane.

Janikowski pokiwał głową.

— Dlaczego ma być opacznie odczytane? A w ogóle to ja go doskonale rozumiem. Twój upór i docieklivość w prowadzeniu dochodzenia oczyściły go z podejrzeń. Nawet gdyby go wypuszczono z braku dowodów winy, jakiś cień by pozostał. Jemu zdarzyło się tylko nieszczęście. Miejmy nadzieję, że po raz ostatni.

# Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07.



W latach 1971-72 w serii „Ewa wzywa 87” ukazały się:

37. Krzysztof Opatoński — Złoty podział
38. Barbara Gordon — Bez tytułu
39. Andrzej Szczypliński — Wyspa czterech burów
40. Wanda Falkowska — Kim jesteś?
41. Aleksander Sciber-Bujski — Złote kule
42. Zygmunt Zygier Zborowski — Prawda rodzi nienawiść
43. Zygmunt Sztaba — To nie było samobójstwo
44. Walerian Drohiczyński — Fatalny wtorek
45. Ewa Szczyplińska — Prezent dla Barbary
46. Aleksander Minkowski — Kiedy wracają umarli
47. Danuta Frey-Majewska — Maska śmierci
48. Władysław Krupniński — Tajemnica gąsieniczej komnaty
49. Jerzy Siemierski — Zaproszenie do podróży
50. Witold Szymanderski — Ekspedycja
51. Jerzy Gierociński — Grubowiec rodziny von Bawera
52. Artur Marenki — Arlekin
53. Helena Sekula — Ślad rękawiczki
54. Julitta Winińska — Klamka z masła
55. Maria Z. Burdowa — Teatr
56. Zygmunt Zygier Zborowski — Czwartek, godzina 22
57. Jerzy Janusz — Amerykańska guma do żucia „Pinky”
58. Sasa Wieliczka — Zanim zapadnie wyrok
59. Zdzisław Norkowski — Zanim świat nad grobem
60. Maciej Gurmus — Umarłym walcę wzbroniony
61. Zygmunt Zygier Zborowski — Dławiącyna w mięsistej kuszalce
62. Helena Sekula — Kartka z notosu
63. Maria Z. Burdowa — Filcja
64. Andrzej Burzycki — Dimanche snaczy śledziela
65. Jerzy Edler — Gang i dziewczyna

CENA 2L 8.-

lesiojot